

KAMENIA

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

LUBLIN - BIAŁYSTOK - KIELCE - RZESZÓW

LUBLIN

29.II.1964

Nr 4 (290)

ROK XXXI

CENA 2 ZŁ

TRUDNA DROGA POWIATU KRAŚNICKIEGO

JERZY DOSTATNI

PRZED 12 laty często jeździłem samochodem z Lublina do Rzeszowa. Tuż za rogatkami Lublina zaczynała się gehenna dla ludzi i dla maszyny. Szosa z tłuczonego kamienia mogła z powodzeniem, oczywiście w odpowiednich proporcjach, współzawodniczyć z najbardziej poszarpanymi wierzchołkami gór. Wysłuzona na wertepach trzech kontyentów „dodge”, przerobiona z wojskowej ciężarówki na „samochód specjalny Polskiej Kroniki Filmowej”, po każdej podróży rozlatywała się na kilkadziesiąt kawałków. Jedyną pociechą w drodze była historyczna, przynajmniej w sferach kierowców, prywatna karczma w Niedzwicy. Latem odpoczywało się jeszcze w lesie pomiędzy Wilkołazem a Kraśnikiem, bo rosły tam obficie wszelkich gatunków grzyby.

Dziś gładkim asfaltem jedzie się do Kraśnika dwa razy krócej. I nikomu nie przeszkadza to, że karczma zmieniła się na spółdzielczą gospodę, w której z doskonałych kiedyś flaków i boczków pozostały tylko wspomnienia. Grzybów też jest znacznie mniej. Po starym jednak do samego miasta zagłada stonkowo mało przejeżdżnych. Położone na łagodnych stokach, jakby zagubione w dolinie rzeki Stróży, leży bowiem tuż poza najważniejszymi skrzyżowaniami dróg: do Rzeszowa, fabryki łożysk tocznych i dworca kolejowego. Dworzec autobusowy też niedawno przeniósł się ze śródmieścia w ten właśnie rejon, tu rozsiadły się biura wielu przedsiębiorstw.

Urbaniści powiedzą, że taki układ komunikacyjny jest właściwy, bo omija się miasto. Mieszkańcy Kraśnika ani nie są, ani chyba nigdy nie byli z tego zadowoleni. Historyczne dokumenty mówią, że Kraśnik był miastem od roku 1377. Na ucho dodaje się, że to nieprawda, bo podobno prawa miejskie dał osadzie w XII wieku syn Krzywoustego — Władysław II. Gdyby tak było, Kraśnik stałby się najstarszym miastem w województwie, a to przecież daje i honor i prawo dopominania się o różne rzeczy. Ale chyba te drogi właśnie spowodowały, że przez stulecia nie mógł się Kraśnik dochrapać rangi powiatowego miasta. Wyprzedziły go najpierw mały i zapomniany dziś Urzędów, a potem Janów Lubelski. Przez 10 pierwszych lat po wojnie między kraśniczanami a janowiczami toczyło się coś w rodzaju podjazdowej wojny, zakończonej w r. 1955 salomonowym wyrokiem: Kraśnik miastem powiatowym pozostał, Janów je odzyskał.

Przeszłość przeszłością, a o teraźniejszości miasta i powiatu rozmawiam z I sekretarzem KP PZPR Marianem Zdunkiem. Zajmuje to stanowisko dopiero od dwóch lat, ale wcześniej był sekretarzem ZMS i wszystko ma, jak się to mówi, w jednym palcu. Obser-

Dnia 7 lutego br. odbyła się wspólna uroczysta Sesja Wojewódzkiego Komitetu Frontu Jedności Narodu i Wojewódzkiej Rady Narodowej w Lublinie inaugurująca Rok Ziemi Lubelskiej w ramach obchodów 1000-lecia Państwa Polskiego i XX-lecia Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. W obradach uczestniczyli przedstawiciele wszystkich środowisk społecznych Lubelszczyzny.

Otwierając Sesję, przewodniczący Prezydium WRN Paweł Dąbek podkreślił szczególne znaczenie obchodów XX-lecia PRL dla Lubelszczyzny, na której narodziła się władza ludowa.

Przewodniczący Wojewódzkiego Komitetu FJN, I sekretarz KW PZPR tow. Władysław Kozdra, po ukazaniu, w świetle obfitych danych dokumentarnych, bogatego dorobku Lubelszczyzny w dwudziestolecie Polski Ludowej, zakończył przemówienie słowami:

„Treści Roku Ziemi Lubelskiej, barwy, którymi będzie błyszczeć, dokonanie, które przyniesie, oddźwięk, jaki wywoła, trwałość jego śladów w pamięci ludzkiej — słowem wszystko to, co stanowić będzie o rzeczywistej wartości Roku naszej Ziemi, zależy przede wszystkim od postawy i pracy mieszkańców Lubelszczyzny, od tego, ile serca, trudu, ofiarności i starań włożą oni w przygotowanie wielkiego święta kolebki władzy ludowej.

Niech mi zatem wolno będzie przekazać sprawę obchodów Roku Ziemi Lubelskiej w godne ręce tysięcy partyjnych i bezpartyjnych działaczy Frontu Jedności, w godne i pracowite ręce całego społeczeństwa Lubelszczyzny!”

W myśl tych wskazań, Kolegium redakcyjne „Kamień”, opierające swoją działalność na współpracy z aktywnym społeczno-kulturalnym Ziemi Lubelskiej oraz zaprzyjaźnionych z nią województw: białostockiego, kieleckiego i rzeszowskiego — nie będzie szczędziło trudów, by jak najgodniej zobrazować konstruktywne wysiłki naszego społeczeństwa w tym uroczystym historycznym i szczególnie kulturotwórczym roku.

wuję to sam w ciągu kilku minut czenia. Najpierw sekretarz ekonomiczny uzgadnia z nim porządek dzienny posiedzenia sekretariatu, potem jakaś kobieta prosi o załatwienie sporu rodzinnego, inna o ułatwienie w otrzymaniu pracy. Kilka telefonów, kilkadziesiąt uspokajających słów — i obie wychodzą zadowolone.

— Pan chce o teraźniejszości — mówi sekretarz — a jednak muszę zacząć też od przeszłości. Tej wciąż jeszcze żywej. W czasie okupacji nasz teren był szczególnie bojowy, a walki w lasach kraśnickich i janowskich weszły na stałe do historii walk o niepodległość. Ale była i druga strona tego bohaterstwa. Zapłaciliśmy wysoką cenę za niepodległość. Niedawno doliczyliśmy się, że w naszym dzisiejszym powiecie hitlerowcy zamordowali 16.402 osoby, 4.414 wywieźli na roboty przymusowe do Niemiec, 5.967 do obozów koncentracyjnych i więzień. Pokażna część straciła tam życie, 407 powróciło z nieuleczalnym kalectwem, 126 wpadło w ciężkie choroby umysłowe. Razem 27 tysięcy ludzi — więcej niż czwarta

część ludności! Właśnie drugiego stycznia minęła dwudziesta rocznica jednej z najbardziej krwawych akcji pacyfikacyjnych: hitlerowcy spalili wtedy całkowicie pięć wsi, mordując około tysiąca ludzi. A do tego straty materialne: 1.484 spalone gospodarstwa, 23 tysiące sztuk bydła, 31 tysięcy trzody chlewnej, 8 tysięcy koni, 3 tysiące owiec, trzecia część drzew owocowych. To szacujemy na około 400 milionów złotych. A jak szacować krew?

— Preraźliwy bilans — szepcą raczej do siebie.

— No ale cóż — ciągnie sekretarz — życie idzie naprzód. Mamy już 15 tys. ludzi więcej niż przed wojną. Stan pogłowia zwierząt gospodarskich oraz produkcję rolną odbudowaliśmy w ciągu 5 lat. Zmiana polityki rolnej w latach 1957—1958 spowodowała, że dochody naszych chłopów wzrosły dwukrotnie. To dało natychmiastowy efekt — ruch budowlany wzrósł o 80 proc. i do dziś okupacyjne straty w tej dziedzinie odrobiliśmy także z nadwyżką.

(Dokończenie na str. 6)

NADZIEJE I TROSKI

STANISŁAW WEREMCZUK

MAMY się czym chlubić. To już nie akcje, ale trwałe fakty. 529 świetlic, około 500 ośrodków przyuczelnianych, 50 gromadzkich ośrodków kompleksowych, 47 klubów prasy i książki, 40 klubów kawiarni. Razem 1.166 placówek. Oczywiście chodzi o wieś i małe miasteczka.

Do końca roku liczba placówek przekroczy 1.500. Więc co druga miejscowość Lubelszczyzny posiadać będzie placówkę — ośrodek lub punkt telewizyjny. Z 17.000 telewizorów zainstalowanych w województwie lubelskim coraz większy procent przypada na wieś. Przeciętnie 40—50 telewizorów w powiecie dostępnym jest dla szerokiej społeczności wiejskiej. Pracuje 700 zespołów artystycznych. I tak można by przytaczać dalej uniwersytety powszechne, szkoły zdrowia i inne. Nie o liczby chodzi. W zjawiskach kulturalnych są one nieraz tylko pozorem. Faktem jest i to trzeba podkreślić, że w ostatnich paru latach obserwujemy na Lubelszczyźnie nie spotykany dotąd wzrost aktywności społeczno-kulturalnej. Przytaczane liczby i inicjatywy są tylko wycinkową ilustracją. Co więcej — inicjatywy te pozostawiają trwałe skutki. A to już coś zupełnie nowego. Utrwala się w świadomości społecznej potrzeba pracy oświatowej i upowszechniania wiedzy praktycznie użytecznej jako podstawa wszelkiej działalności k.o. Powstają nowe formy pracy, nowe typy placówek bardziej odpowiadające zainteresowaniom i potrzebom współczesnego człowieka. Następują istotne przewartościowania treściowe.

Ogólny bilans jest pozytywny. Nie znaczy to wcale, że droga ściele się przysłówowymi różami. W ogromnym rozmachu organizacyjnym to i owo jeszcze umyka uwadze organizatorów. Przypatrzmy się pokrótce głównym kierunkom organizacyjnym, by wyłowić to, co jeszcze wymaga korekt.

Na pierwszy plan — ośrodki przyuczelniane. Sprawa znana jest ogółowi społeczeństwa. Przed paru laty Ministerstwo Kultury i Sztuki, wychodząc z założenia, że szkoła długie lata jeszcze będzie w większości wsi jedynym punktem, o który można oprzeć działalność k.o., zainicjowało tzw. „eksperyment szkoła ośrodkiem życia k.o.”.

Zainwestowano nieco grosza, przygotowano kadry. Praktyka potwierdziła założenia. Dokonana przez KW PZPR ocena akcji na terenie powiatów prekursorskich (Lubartów, Łuków, Chełm, Biła Podlaska), podkreśliła wyniki i zaleciła jej dalsze rozszerzenie na całe województwo.

Tu z inicjatywą wyszło Kuratorium. Zorganizowało konferencję inspektorów poświęconą akcji — szkoła, piśmiennictwo z dnia 19 września zaleciło otwieranie ośrodków we wszystkich szkołach zatrudniających ponad 3 nauczycieli. Sprawa ruszyła naprzód. Znikły opory

(Dokończenie na str. 8)

W ZBIOROWEJ pracy wydanej pod redakcją Stanisława Wrońskiego pt. „Polsko-czechosłowackie braterstwo broni” znajdziemy wiele przykładów wspólnego działania patriotów polskich i czechosłowackich w walce przeciwko hitleryzmowi. Możemy przeczytać tu o „Pepiku” — Jerzym Niedoszynskim, bohaterem dowódcy oddziału GL, który zginął na naszej ziemi, i o przerzutach przywódców KPCz przez Polskę dokonywanych przy pomocy GL, o wspólnych walkach oddziałów polskich i czechosłowackich w Tobruku, o Słowakach w powstaniu warszawskim i o Polakach w powstaniu słowackim, o 1 korpusie czechosłowackim wyzwalamym Krośnieńskie i o 2 armii WP walczącej pod Mielnikiem i Pragą. Książka ta, obok pracy Zbigniewa Flisowskiego „Pod znakiem białego lwa” i nielicznych artykułów w prasie wojskowej, to jak dotąd jedyna próba szerszego ujęcia tak interesującego tematu, jakim jest współpraca Polaków, Czechów i Słowaków podczas ostatniej wojny.

Kiedy temat został podjęty, chciałbym przedstawić kilka przykładów tej współpracy na terenie województwa rzeszowskiego, sąsiadującego bezpośrednio z północną częścią Słowacji.

Było to w pierwszych dniach września 1939 roku. Patrol jednej z jednostek armii „Karpaty”, wysłany w okolice Komańczy, natknął się niespodziewanie na maszerującą od strony nieprzyjaciela oddziałek. Żołnierze momentalnie uskoczyli w bok od drogi improwizując błyskawiczną zasadzkę. I oto oczom ich przedstawił się niezwykle widok. Kilku żołnierzy słowackich maszerowało beztroško prowadząc pod karabinami podoficera w mundurze Wehrmachtu. Na okrzyk „ręce do góry” odrzucili broń i stanęli na szosie.

— Nie strzelajcie. My wasi bracia... Słowacy.

Tak oto zakończyła się „bojowa akcja” jednego ze słowackich patroli, wchodzących w skład dywizji słowackiej, którą prohitlerowski rząd marionetkowego państwa księcia Tiso na rozkaz berlińskich mocodawców pchnął przeciwko Polsce.

Później, po klęsce, przez południową Rzeszowszczyznę przeszła fala uciekinierów. Wtedy niejednokrotnie Słowacy umożliwiali przejście granicy, dostając się na Węgry, skąd oficerowie i żołnierze przedostawali się dalej, do Francji i Anglii.

Przyjazną postawę Słowaków wykorzystywały także partyzanckie oddziały działające na Podkarpaciu, a szczególnie w jasielskim i gorlickim. Kiedy hitlerowcy szczególnie penetrowali teren, partyzanci małymi grupkami przechodzili nad granicę, gotowi do jej przejścia. Wiedzieli o tym dobrze słowacka straż, ale ani jej w głowie było współdziałanie z hitlerowskim „sprzymierzeńcem”.

Szczególnie bliską współpracę nawiązał ze Słowakami oddział Gwardii Ludowej im. Grzegorza Wodźki, działający tu w latach 1943—1945 pod dowództwem Michała Dońskiego. Oddział ten składał się z Polaków, miejscowej ludności lemkońskiej i żołnierzy radzieckich zbiegłych z obozów. Operował w południowej części powiatów jasielskiego i gorlickiego. Oto co mówi o współpracy ze Słowakami Michał Doński, jego b. dowódca.

— Nasze kontakty ze słowacką służbą graniczną były dobre. Nasi znajomi Słowacy pomagali nam w przekraczaniu granicy, kiedy było potrzeba, a niejednokrotnie zaopatrywali nas w broń. Pewnego dnia przyszli sami. Powiedzieli, że już dość mają bezczynności, że chcą razem z nami bić Niemca. Przyjeżdżamy ich, nie bardzo wiedząc, co z tym nabytkiem robić. Sądziłem, że narazili się czymś dowództwu i zwiali w obawie przed represjami. Ale, że przyszli dobrze uzbrojeni, cieszyliśmy się, bo zawsze to siła ognia oddziału wzrastała. Po jakimś czasie poprosili o krótki urlop. „No cóż, idźcie” — powiedziałem, nie bardzo wiedząc, co im wpadło do głowy. Jakież było nasze zdumienie, kiedy przyprowadzili ze sobą 20 świetnie ubranych i uzbrojonych żołnierzy, przynosząc na dodatek cztery erkaemy.

Latem 1944 roku przez wschodnią Rzeszowszczyznę przeszły ku Karpatom zagoni radzieckich partyzantów z Lubelszczyzny. Rozkaz Sztabu Partyzanckiego Ukrainy w przededniu rozpoczęcia operacji lwowsko-sandomierskiej przerzucił je na teren Czecho-Słowacji. 1 sierpnia, kiedy oddziały Armii Ra-

dzieckiej były już pod Rzeszowem, zgrupowanie partyzanckie N. Prokopiuka przekroczyło granicę polsko-słowacką w rejonie Solinki. W dwa dni później wkroczyli do Słowacji partyzanci W. Karasiowa, potem M. J. Szukajewa, L. Berensztejna i inni. W doświadczeniu do granicy i jej przekroczeniu pomagała im miejscowa ludność. Z oddziałem Mikołaja Kunickiego — „Muchy”, działającym w zgrupowaniu M. J. Szukajewa, poszedł do Słowacji miejscowy polski oddział J. Pawlusiewicza, działający dotąd w Bieszczadach, w rejonie Wolkowki.

Niezależnie od oddziałów rajdowych, na teren Słowacji i przygraniczne tereny polskie zrzucały radzieckie grupy organizacyjne, załączki przyszłych oddziałów i brygad partyzanckich. Jedną z takich grup była grupa Wiaczesława Kwityńskiego, która wylądowała w czerwcu 1944 r. w rejonie Turki, skąd przez Bieszczady ruszyła na zachód i walcząc dotarła do okolic Dukli i Zmirodo. Tutaj grupa nawiązała łączność i współpracę z organizacją PPR w Myscowej, a następnie z oddziałem AL, którym dowodził Michał Doński. Partyzanci polscy i radzieccy przeprowadzili wiele wspólnych akcji bojowych, a jednocześnie oddział Kwityńskiego przygotowywał się do przejścia granicy. I tutaj znów PPR-owcy z Myscowej: J. Malcew, W. Tymik, S. Doktor i partyzanci AL oddali radzieckiemu dowódcy duże usługi. W wydanej w Kijowie w 1963 r. pracy „O braterskim bojomu soдруziestwie w partyzanckiej walce przeciwko faszystom” bohater Związku Radzieckiego W. A. Kwityński, wspominając tę współpracę, pisze:

„Ludność miejscowa i jej organizacje okazywały partyzantom wielką pomoc tym, że dawały dokładne informacje o

lokalizacji niemieckich garnizonów, dawany dobrych i pewnych przewodników, zaopatrywały w żywność, kierowały do oddziału swoich obywateli i ludzi radzieckich zbiegłych z faszystowskiej katorgi”.

6 sierpnia 1944 radiostacja Kwityńskiego odbiera rozkaz gen. Strokacza: przejść do Słowacji w rejonie Preszowa! Prowadzony przez lemkońskich i słowackich przewodników oddział rusza do Słowacji. Kiedy przyszedł do Polski, liczył 23 ludzi. Teraz idzie ich około 120. Wśród nich Słowacy i partyzanci radzieccy z oddziału AL im. Grzegorza Wodźki. Idzie także kilku miejscowych „leśnych ludzi”, m. in. Grzegorz Jawylak i Jurij Malcew, którzy zginęli później w walce na ziemi słowackiej. Poszliby wszyscy, ale rozkaz ich władz jest wyraźny: pozostać na miejscu! Armia radziecka jest tuż, tuż, należy więc przygotować się do tworzenia władzy ludowej.

Oddział działa więc dalej na swoim terenie, współpracując m. in. z konną grupą gen. Baranowa podczas operacji dukielskiej. Przedtem jeszcze przyłączają się do niego dalsi zbiegowie z obozów jenieckich. W Myscowej pozostał ranny oficer Kwityńskiego O. K. Ostrowski, który po wyleczeniu zbiera tych ludzi (ok. 70) i idzie w ślady oddziału do Słowacji. Takie uzupełnienia posyłał tam oddział AL dowodzony przez Michała Dońskiego, który łączył się z Kwityńskim utrzymując przez cały czas. We wrześniu oddział Kwityńskiego miał już 360 osób i przemianowany został w brygadę składającą się z 5 kompanii. Brygada ta przeprowadziła 156 akcji bojowych (z tego 36 na torach kolejowych, 92 na szosach i 28 innych), w których zginęło 1876 Niemców. Partyzanci przeszli 820 km (z tego 250 w Polsce), zaś poszczególne

Kiedy lejtnant Ostrowski prowadził z Myscowej zebranych ludzi do swojego dowódcy w Słowacji, pod Krosno ciągnęły już oddziały Armii Radzieckiej, a z nimi 1 i 3 brygada 1 Korpusu Czecho-Słowackiego. Kiedy grupa lejtnanta połączyła się z Kwityńskim, z odrzykońskich wzgórz były w linii niemieckie czechosłowackie i radzieckie armaty, a potem żołnierze ze znakiem lwa na czapkach ruszyli do natarcia, w którym przeszli nad Wisłoką aż do słowackiej Ondawy, wyzwalając całą południową część powiatu krośnieńskiego. W tym samym czasie pod Sankiem były się bataliony 2 czechosłowackiej brygady spadochronowo-desantowej, składające się głównie ze Słowaków. Z lotnisk pod Przemyślem i Krosnem startowali do walki na swych maszynach czechosłowaccy piloci, zaś w bojach pod Duklą, Barwinkiem i Zydranową chwałą okrywali się żołnierze 1 czechosłowackiej brygady pancernej.

W dniach kiedy 1 Korpus Czecho-Słowacki przekraczał granicę, w Rzeszowie formowała się 10 dywizja piechoty Wojska Polskiego, która swój bojowy szlak zakończyła na ziemi czechosłowackiej z szacującą za hitlerowców pilnowane tereny CSRS.

Jednocześnie z lotnisk pod Krosnem, Rzeszowem i Tuszowem Narodowym startowały radzieckie samoloty, z grupami skoczaków spadochronowych na pokładach. Skoczakowie ci Czesi, Rosjanie i Polacy wylądowali w różnych rejonach Czecho-Słowacji i zorganizowali tam grupy partyzanckie, które dalej prowadziły walkę z hitleryzmem.

A oddział AL im. Grzegorza Wodźki pozostał na swoim terenie do stycznia 1945 roku. Po wyzwoleniu dowódcy oddziałów polskich, radzieckich i słowackich spotkali się w Bardejowie, gdzie obchodząc radośnie zwycięstwo wspominali dni wspólnych walk przeciwko faszyzmowi.

DZIAŁALNOŚĆ Pedagogicznej Biblioteki Wojewódzkiej w Rzeszowie, podobnie jak innych w kraju, określona jest wyraźnym charakterem tej instytucji: korzystają z niej przede wszystkim nauczyciele podnoszący poziom swoich kwalifikacji, osoby przygotowujące się do zawodu nauczycielskiego, pracownicy administracji szkolnej. Obok tych podstawowych funkcji prace Biblioteki dają w rezultacie „nadwartość”, która liczyć się powinna w rozwoju życia umysłowego i kulturowego miasta i województwa.

Powstała w roku 1945, rozwijała się ta instytucja oświatowo-kulturalna równoległe z dynamicznym życiem szkolnictwa. Szybki jej rozwój sprawił, że w chwili obecnej zajmuje Biblioteka drugie miejsce w kraju (po Krakowie) pod względem wielkości księgozbioru, który liczy 80.000 pozycji. Do tego szybkiego rozwoju przyczyniła się w dużej mierze cenna inicjatywa dwóch kolejnych dyrektorów Biblioteki — dra Tadeusza Stanisza i mgr Franciszka Swidra, który obecnie kieruje pracami Biblioteki. Obaj dali się poznać jako ofiarni kierownicy, żywo zainteresowani nie tylko wewnętrznym rozwojem placówki, lecz również rozwojem życia politycznego, społecznego i ekonomicznego naszego województwa. Należy też odnotować fakt, iż w ciągu wielu lat swojej pracy obydwa zamieszczały w prasie artykuły publicystyczne dotyczące rozwoju oświaty, szkolnictwa i kultury. W 1954 roku mgr Fr. Swider zainicjował na łamach „Nowin Tygodnia” dyskusję o wyższej uczelni, która powinna w przyszłości powstać w Rzeszowie. Dyskusja ta wyzwoiliła wiele cennych inicjatyw i ujawniła ambicje kulturalnego rozwoju miasta.

Dodajmy, że rozwój Pedagogicznej Biblioteki Wojewódzkiej nie tylko zmierzał do zaspokojenia zasadniczych potrzeb czytelnich nauczycieli, lecz również wymierzony był w kierunku zaspokojenia potrzeb mającej powstać w przyszłości wyższej uczelni typu pedagogicznego. Rok 1963 był dla Rzeszowa „rokiem urodzaju”. Otwarcie dwu wyższych uczelni (Wyższej Szkoły Inżynierskiej oraz Studium Wydziału Filologiczno-Historycznego i Matematyczno-Fizycznego krakowskiej WSP) zostało słusznie uznane za kulturalną nobilitację miasta. Powstaje środowisko naukowe, środowisko studenckie, za kilka lat studiować będzie w Rzeszowie ponad 2.000 młodzieży.

Oczywiście awans kulturowy miasta nie polega jedynie na powstawaniu

NIE TYLKO W BIBLIOTECE

JÓZEF NOWAKOWSKI

dwu nowych placówek naukowo-oświatowych, lecz także na działalności i energii tych ludzi, którzy zabiegali o ich utworzenie, jak również na stylu pracy tych placówek, które stwarzały zaplecze dla nowo powstających uczelni, a do tych instytucji zaliczyć należy Pedagogiczną Bibliotekę Wojewódzką. Scisła współpraca z Kuratorium w okresie wysiłków zmierzających do utworzenia wyższej uczelni w Rzeszowie przyniosła spodziewany rezultat: kiedy trzeba było tworzyć bibliotekę zakładową w nowo powstałej WSP, Biblioteka mogła przekazać podstawowy zbiór księgozbioru. Zakup książek przy operatywności pracowników Biblioteki wpłynął na szybkie uruchomienie bibliotek zakładowych na WSP. Warto dodać, że w chwili obecnej Biblioteka planuje zakupy książek z myślą o mających powstać w najbliższym czasie nowych wydziałach tej uczelni.

Aktualne prace Biblioteki zmierzają przede wszystkim do popularyzacji książek z dziedziny psychologii i pedagogiki. Zapotrzebowanie na tego typu książki jest wśród nauczycielstwa duże. Wiąże się to z wielką rolą społeczną tych dziedzin nauki, które służą coraz skuteczniej do kształtowania nowego modelu życia. Toteż pracownicy Biblioteki przygotowują zestawy bibliograficzne z tego zakresu. Stała współpraca z Okręgowym Ośrodkiem Metodycznym w Rzeszowie umożliwiła szeroki kontakt z nauczycielstwem. Od lat praktykuje się omawianie i recenzowanie najciekawszych pozycji wydawniczych na konferencjach metodycznych i rejonowych. Zasada wyjścia z książką ku odbiorcom daje bardzo często dobre wyniki, rośnie zainteresowanie nie tylko poszczególnymi dziełami, lecz w ogóle współczesną problematyką psychologiczną i pedagogiczną, co należy określić jako zasadniczy cel działania. Równocześnie bezpośrednie kontakty pracowników biblioteki z nauczycielstwem umożliwiają orientację w zakresie aktualnych potrzeb czytelnich środowiska (trzeba ze smutkiem odnotować fakt, że skala i poziom tych potrzeb są o wiele bogatsze u starszych nauczycieli. Nauczyciele po SN i liceach pedagogicz-

nymi nie przejawiają żywszych zainteresowań w dziedzinie wiedzy psychologicznej i pedagogicznej).

Prace bibliograficzne, jakie podjęła Biblioteka w ostatnim czasie, dotyczą szerokiego zestawu z zakresu metodyki nauczania poszczególnych przedmiotów w szkole podstawowej i liceach ogólnokształcących, przygotowuje się zestaw pozycji metodycznych dla nauczycieli szkół zawodowych, jak również katalog nabytków z pedagogiki w okresie 1945—1963 r.

Warto odnotować inicjatywę Biblioteki w wykorzystaniu prasy i radia. Każdego miesiąca w lokalnym programie radiowym wygłaszają pogadanki pracownicy Biblioteki, przy czym ich tematyka jest wyznaczona przez skalę aktualnych potrzeb społecznych w zakresie praktyki pedagogicznej.

Trzeba też zwrócić uwagę na filię Biblioteki mieszczącą się w dawnym gmachu popijarskim przy ul. 3 Maja. Stary księgozbiór, sięgający czasów Konarskiego, zawiera dużą ilość sprawozdań gimnazjów galicyjskich. Bibliografia tych prac została przygotowana i w obecnej chwili stanowić może cenne źródło do badań nad historią szkolnictwa, do studiów nad metodyką nauczania ujmowaną historycznie, jak również do prac dotyczących recepcji dzieł literackich w szkołach galicyjskich. Prześledzić można specyficzną formę kultu Mickiewicza, Słowackiego, Marii Konopnickiej. Ten bogaty materiał dokumentalny nie jest jeszcze w pełni wykorzystany. Być może stanowić będzie w niedalekiej przyszłości materiał do rozpraw magisterskich studentów filologii polskiej WSP.

Bezpośrednie kontakty dyrektora Biblioteki ze słuchaczami Zaocznego Studium Nauczycielskiego na platformie dydaktycznej, systematyczny instruktaż o strukturze i formach pracy Biblioteki, uczynność i życzliwość jej pracowników, dla których praca dla ludzi stała się treścią życia, wysoki poziom ich zawodowego przygotowania — to główne czynniki skutecznej pomocy studium nauczycielom.

W 1962 r. korzystało z usług Biblioteki 894 czytelników studiujących zaocznie, w 1963 roku liczba ich wzrosła do 972. Stałe kontakty ze Studium Nauczycielskim umożliwiają systematyczną

W oczach krytyków i odbiorców

STANISŁAW MICHALCZUK



XAWERY DUNIKOWSKI

POWSZECHNIE znane artystyczne dzieło Xawerego Dunikowskiego, kształtowane przez z górą sześćdziesiąt lat, zawsze pewną ręką, przenikliwym wzrokiem i wybuchowym temperamentem upartego indywidualisty, zamknęło się granicą przeszłości. Po hołdzie złożonym przez tysiące bliskich mu i dalekich ludzi biorących udział w uroczystościach pogrzebowych, po wielu wzmiankach i spontanicznych głosach w prasie, musi nastąpić godne podsumowanie ogromnej spuścizny (ocalałe szczęśliwie z pożóg dwóch wojen światowych), którą wielki artysta zostawił narodowi — musi powstać wyczerpująca monografia, stała muzealna ekspozycja dzieł, albumy ilustracji itd.

Straciłszy największego twórcę naszej nowoczesnej rzeźby. W skarbcu kultury narodowej pozostał „las” jego rzeźb, które dawno już zestawiano z utworami Kochanowskiego, Fredry, Chopina, Michałowskiego. Dzieło Dunikowskiego, wypełniające jego długi żywot, rozdziło się w pierwszych latach naszego stulecia, w atmosferze ostrego konfliktu z tradycyjnym smakiem artystycznym publiczności. Warto sięgnąć w przeszłość i przypomnieć pełną przeciwności drogę odważnego i ambitnego rzeźbiarza, porwanego pasją ucieczki od konwenansów, zasklepionej tradycji — od rzeźby najmniej wartościowej, jaka pojawiła się w polskiej historii sztuki na przełomie XIX i XX wieku.

Złoty medal otrzymany za pracę dyplomową w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie — portret malarza H. Szczyglińskiego (1893 r.), jedno z najlepszych studiów portretowych z wczesnego okresu twórczości, wystawiony ostatnio na jubileuszowej Wystawie Sztuki Warszawskiej w Muzeum Narodowym w Warszawie — był znakiem świetnego startu. Ale pierwszy kontakt z publicznością, na wystawie w Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie (1902 r.), nie budził dobrych nadziei. Publiczność zaskoczyły nowatorskie poczyny rzeźbiarza, a zdeorientowani krytycy ograniczyli się do krótkich wzmianek w prasie. Kilka rzeźb z cyklu Człowiek i parę portretów wyczejnie zignorowano.

W latach następnym wybuchła burza. Ostrem protestem ogółu przeciwstawiły się nieliczne pochlebne opinie paru krytyków (Kleczyński, Jellenta, Niewiadomski), stojących w opozycji do złych gustów mieszczańskich odbiorców.

Wystawa warszawska w styczniu 1905 roku wywołała skandal. Zwolennicy tradycyjnego „piękna”, bojący się prawdy w temacie, a nowatorstwa w formie, nie szczędzili bolesnych uwag młodemu artyście. Wystawione rzeźby porównywano do „słupów gipsowych i drewnianych łbów fryzjerskich do fabrykacji peruk”. Ubolewano, że w rzeźbionych postaciach, „wyprawiających miny i łamańce”, zabrakło pierwiastków „budzących uczucia”. *Tchnienie, Fatum, Byt* — uznano za „aż przykre w kształtach”.

Rzecz w tym, że hoidujący płytkiej sztuce nie mogli znaleźć w nowatorskich rzeźbach Dunikowskiego nic z klasycznej idealizacji upiększającej naturalistycznie kopiowaną naturę, nie z sentymentalnej eklektyczności nobliwych tematów. Dramat istnienia, konflikty bytu, tragizm egzystencji człowieka — wyzwały pod wpływem modernistycznej filozofii wrażliwą naturę Dunikowskiego, czuła na ziemskie sprawy ludzi. Nowatorską tematykę przewyższała prekursorska, pełna ekspresyjna forma. (*Człowiek, Jarzmo, Mezczyzna i Kobieta, Macierzyństwo, Fatum, Beznadziejność*). „Sztuka to realizowanie uczuć” — podkreślał Dunikowski i twierdził, że „nie można formy oddzielać od treści”. Szukał treści i odnajdywał formę. Stworzył tak ważną w dziele rzeźbiarskim monu-

mentalność. Samodzielnie doszedł do kubizmu. Kilka lat przed słynnymi *Pannami z Atinonu* Picassa wyrzeźbił *Tchnienie* (1901 r.), realizując w pełni nie istniejący jeszcze we Francji program plastyki przestrzennej tego płodnego kierunku. Fakt ten sygnalizowany przez S. Flukowskiego, pozostał nie ujawniony dotąd w historii sztuki naszego wieku. A ma on znaczenie zasadnicze w oryginalnym i indywidualnym dziele Dunikowskiego. W sposób niesłychanie konsekwentny wykorzystał on swoje młodzieńcze zdobycze w powstałych w Paryżu słynnym *Autoportrecie* i *Grobowcu Bolesława Śmiałego*, a niedawno w monumentalnych kubistyczno-konstruktoryjnych, formach kilku projektów *Pomnika Bohaterów Warszawy*.

Artysta wybiegający w przyszłość, odnajdujący nowe wartości w sztuce, skazywał siebie na wzdarcie tradycjonalistów. Podczas dyskusji nad jego kandydaturą na profesora w Warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych jeden z oponentów określił jego prace jako plody nadmiernie wybujałej wyobraźni, „jakichś obłądnych wybryków ducha”, dalekie „od szlachetnej linii antyku”, unowocześnione „kanciastymi zgrzytami”. Podobnie przyjęto w Warszawie wystawione w roku 1907 *Kobiety brzemienne* i *Ewę. E. Niewiadomski* w 1908 r. przedstawił następującą atmosferę, jaka towarzyszyła twórczości młodego Dunikowskiego: „Prace Dunikowskiego... trzeba przebojem wprowadzać na wystawę, bo komitety dębiają ze zgrozy, a nawet woźni ruszają na nie ramionami. Przyzwolita publiczność z daleka omija zapowietrzona sale, a pisma albo milczą, albo mówią, ale krótko i wrzuszając oględnie. Prywatnie mówi się po prostu: Kto? Dunikowski?... ach okropne!”

W początkach XX wieku kiedy tak ostro starło się stare i nowe w sztuce polskiej tylko bardzo nieliczni postępowi krytycy i artyści „postawili” na Dunikowskiego. Jellenta napisał w 1903 r.: „Zawsze i wszędzie jednak jest świeży, rwący się, śmiały, a nawet zuchwały w pomyśle... Szczególną siłę widzę w portretach Dunikowskiego”. Kleczyński stwierdził (w r. 1905), że kompozycje jego „... to logiczna sama siebie tłumacząca całość, to świat odrębny, w którym artysta porusza się z całą swobodą jaką daje podstawa wszelkiej twórczości — opanowanie kształtu, umiejętność wydobycia tego co się pragnie, świetna, na monumentalne dzieła obliczona technika urodzonego rzeźbiarza”. Ten sam krytyk w roku 1908 stawia Dunikowskiego obok Rodina i Meuniera w światowej czołówce ówczesnych rzeźbiarzy, a po paru latach mianuje go geniuszem. Znany karykaturzysta K. Sichulski (1911 r.), zachwycony *Kobietami brzemieniami* i portretem aktora Kamińskiego, przyznaje, „że były to najlepsze rzeźby, jakie w ostatnich czasach oglądano na wystawach europejskich”.

Kilkunastoletni okres zmagania wspartych zagranicznymi sukcesami Dunikowskiego przechylili szalę opinii krytyków i odbiorców na stronę wielkiego artysty. W roku 1924 M. Treter zamknął w obszernym, bogato ilustrowanym studium dwudziestopięcioletni dorobek uznanego już rzeźbiarza. Lata następne przyniosły szereg bardzo pochlebnych omówień dzieła Dunikowskiego w miesięczniku Polskiego Instytutu Sztuk Pięknych „Sztuki Piękne”. P. Smolik wysoko ocenił pierwsze rzeźby z cyklu „Głowy Wawelskie” (1907 r.), a M. Treter (w 1931 r.) podkreślił indywidualny styl Dunikowskiego jako rzeźbiarza polskiego.

W 1948 r. artyście — przywróconemu życiu rocznym pobylem w szpitalu po pięciu latach oświęcimskiej kaźni — poświęcono, z okazji ogrom-

Listy o poezji

„ODRĄBANO CZŁOWIEKOWI RĘCE”

ANNA KAMIENSKA

Odrąbano człowiekowi ręce,
upadł zwałonym tułowiem

[na cień swój,

krew zakrzepła pokracznym kształtem

[na ziemi.

Stanisław Piętaś
(„Zaklinania”)

27 STYCZNIA środowisko literackie wstrząsnęła wiadomością o tragicznej śmierci poety Stanisława Piętaka. Był to na pewno jeden z najczystszych, najlepszych ludzi. Urodzony pisarz, urodzony poeta. Człowiek spokojny, opanowany, ujmujący w sposobie bycia, ale boleśnie unerwiony i wrażliwy. Śmierć Stanisława Piętaka jest wielką stratą dla naszej literatury, a zwłaszcza poezji. Karta jego piarstwa, niedopisana do końca, nie da się niczym zastąpić. Jego widzenie świata było na wskroś oryginalne, własne. Był pisarzem ziemi, młodości spędzonej na wsi, pisarzem polskiego krajobrazu przetworzonego we własnej psychice, kronikarzem namiętności kłębiących się we wnętrzu chłopskiej społeczności, w której miał odwagę widzieć i piękno i mroki ludzkiej egzystencji. Nie był poetą łatwego, sloganowego wiersza. Niewątpliwie jednak poprzez jego na wskroś nowoczesną i współczesną poezję przemawiał głęboki nurt ludowy. Ten nurt „najwewnętrzniejszy”, jak się wyraził sam Piętaś, ludowy — jest w naszej literaturze stosunkowo wąski, jeśli się weźmie pod uwagę ważność chłopstwa w sensie wkładu do kultury narodowej. Jest też przez ogół pisarski, przez krytykę zarzucony snobizmem traktowany z góry, z pewną pogardą, która zastąpiła zwalczane nastroje ludomańskie.

Tragiczna śmierć bezinteresownego, niezawistego człowieka sztuki powinna wywołać głębokie zastanowienie w naszym środowisku piarskim.

Nikogo nie można bezpośrednio o tę śmierć obwiniać. Była ona wynikiem tkwiącej głęboko i od dawna, a rozwiniętej w ostatnim roku choroby. Gdy się dziś czyta poezje Stanisława Piętaka, odnajdziemy w nich począwszy od pierwszego tomiku „Alfabet oczu” wiele bolesnych kompleksów i jakby zapowiedzi samobójczej śmierci. Już wówczas poeta „stoi aż po usta w dotyku śmierci”.

U młodego poety zresztą podobne motywy mogą się wydawać pozą i konwencją estetyczną. Aura poetyckiej cyganerii warszawskiej, do której dostał się Piętaś poprzez osobę Józefa Czechowicza, nie była także najzdrowsza. Wielu z młodych poetów tego kręgu pochodziło właśnie z Lubelszczyzny. Pito tam wiele (z wyjątkiem samego Czechowicza i Piętaka) i prowadzono dość niechlujny tryb życia. Nad tym pokoleniem zawisło straszne fatum, które w swej piarskiej wrażliwości musieli przeczuwać.

Sam Czechowicz jak sejsmograf naladowany był przecuciem śmierci i zagłady.

Ze pod kwiatami nie ma dna
to wiemy wiemy

gdy spłynie zórz ogniowa kra
wszyscy usniemy

będzie się toczył wielki dzwon
z niebiańskich lewad

na młodość pół na cichy dom
w mosiężnych gniewach

— prorokował Czechowicz niemal patetycznie jeszcze przed wielkim proroczym wierszem „Zal”.

nej, jubileuszowej (50 lat!) wystawy powojennej jego dzieł w Krakowie i Warszawie, dużo recenzji, ze szczególnym uznaniem za wznoszony właśnie na Górze św. Anny pomnik powstańców śląskich. H. Blumówna dokonała wnikliwej charakterystyki twórczości artysty w „Roczniku Ossolineum”, wspominając przejścia obozowe: „Niemcy żądali, by rzeźbił, wywoływało go przed szeregi więźniów z rozkazem rzeźbienia pomnika SS-manna!!! — Nie tylko że nie chciałem, ale (Dokończenie na str. 5)

Pierwszy nie wytrzymał presji złych przeczuć pięknie zapowiadający się poeta Bronisław Michalski, autor tomiku „Wczoraj” (wydanego w Lublinie) i pośmiertnie wydanego tomu: „Spotkanie z brzozą”. Tomik ten zawiera wstrząsający wiersz odnaleziony w kieszeni ubrania Michalskiego, który utopił się w Wale.

Zapewne wszyscy przyjaciele poety, a wśród nich i Stanisław Piętaś, chodzili w tym czasie wstrząśnięci, ale i zafascynowani tą śmiercią i pięknym wierszem ostatnim:

Dlaczego zdarzył niełacznej
że muszę odejść stąd,
skoszony sierpem rozpaczy
na twój tragiczny ład?

Tomik Michalskiego wyszedł w 1936 roku. W trzy lata potem ginie Czechowicz, który, jak podają relacje, widziony jakimś anti-instynktem, nie cofa się, ale rzuca się naprzód chwytając wprost w ramiona śmierci bombę. W mroku okupacji giną, przeważnie w nieustalonych okolicznościach — Władysław Podstawa (pamiętam jego udział w studenckim wieczorze poetyckim na KUL-u), Henryk Domiński i Artur Rzezyca.

„Granica rozkoszy i śmierci” fascynuje również Piętaka. Nie sposób dziś po jego śmierci bez wstrząsu i wzruszenia czytać wielu jego wierszy. Cały zaś ostatni tom „Zaklinania” jest wielką spowiedzią i przywołaniem śmierci.

W takich wypadkach jakże wierzymy w fikcję literacką i w przeróżne artystyczne kryteria. Nie widzimy za wierazami człowieka, człowieka nie-ludsko cierpiącego i szamocącego się w poczuciu samotności i opuszczenia. Fikcje poetyckie! Tak wiele namnożyło się w ostatnich czasach wymyślonych, fikcyjnych, sztucznych wierszy, że nie odróżnia się już czasem tych, które tworzone są całym człowieczeństwem piszącego, jego cierpieniem i krwią. Zdevaluowane słowa nie niosą nam już swego ostrego, rzeczowego sensu. Poezja Piętaka była jednak pisana krwią i cierpieniem. Została sprawdzona jego życiem i jego śmiercią.

W okresie krakowskim, studenckim, Piętaś, jak sam wyznaje w swoich „Portretach i zapiskach”, czuł się kilkakrotnie bliski ostateczności. Zagubienie chłopskiego inteligenta w obcym środowisku, dosłowny głód i niedostatek przyczyniły się do tego stanu duszy. W Warszawie pośród przyjaciół, w ciepłej przyjaźni Czechowicza, posiadającego duże zasoby uczuć opiekuńczych w stosunku do młodych poetów — Piętaś dojrzewa, uspokaja się i staje się w pełnym tego słowa znaczeniu piarszem. Dzięki nagrodzie PAL-u osiąga większą niż jego towarzysze, sławę. Jego powieść o Jasiu Kunefale staje się przedmiotem polemiki literackiej. Ilość recenzji z debiutanckiego tomiku jest ogromna.

Tej atmosfery koleżeństwa i przyjaźni zabrakło w środowisku literackim po wojnie. Nie należy oczywiście idealizować środowiska literackiego przed wojną. Pewne cechy tego środowiska należą do zawodowych chorób. Ale tworzące się wokół gazet koterie towarzyskie wielu poetów usuwają w cień. Książki zapadają na najboleśniejsze dla ambitnego pisarza milczenie. Rozgłos przedwojenny nie odpowiada już pozycji powojennej.

Lekarz określa po łacinie chorobę. Ale jak nazwać tę chorobę środowiska literackiego, tę swoistą znieczulicę artystyczną, tę pogardę zarówno dla sztuki jak dla ludzi, którzy ją tworzą?

I oto zaczyna się swoisty nowy obrzęd. Śmierć używała nowe uczucia. Grób pokrywa się śniegiem. Szary wieńców pogrzebowych mokną i gniją. Tak już musi być.

* Zdania krytyki z lat 1902—1911 cytuję z artykułu H. Wągrowskiej „Z wypowiedzi krytyków polskich o sztuce Xawerego Dunikowskiego w latach 1900—1914”, „Sztuka i Krytyka”, z. VII, nr 3—4.

EMANUEL ISERZON

1.

KORPORACJA ukształtowała się jako twór prawny odpowiadający europejskiej spółce akcyjnej. Jej udziałowcy są potrójnie zabezpieczeni przed fatalnościami swobodnej walki konkurencyjnej: 1) walka odbywa się nie w pojedynkę, ale gromadą, której siła gospodarcza jest nieporównanie większa, niż siły gospodarze poszczególnych udziałowców, 2) ryzyko walki obejmuje tylko wartość wniesionego do spółki udziału, nie zagrożając reszcie majątku akcjonariusza i 3) udziałowiec nie angażuje swego czasu, zdrowia i zdolności w prowadzenie przedsiębiorstwa, pozostawiając kierownictwo przedsiębiorstwem zarządcą, którzy sami sobie „wygospodarowują” płace i nagrody nie obciążając w tym względzie jakkolwiek odpowiedzialnością akcjonariuszy.

Rozwój gospodarczy w warunkach kapitalizmu jest funkcją energii, rzetelności, pomysłowości, a nawet ryzykowności przedsiębiorców. O ile mniej znalazłoby się tych walorów wśród przedsiębiorców i o ile mniejsze byłyby ich osiągnięcia, gdyby nie bezpieczeństwo, które zapewnia inwestorom kapitału struktura korporacji jako tworu akcyjnego.

Gdy korporacje stały się niezbędnym elementem pomyślnego rozwoju gospodarczego USA, instrumentem postępu bogostawionej przez kapitalistów „rewolucji kapitalistycznej”, rewolucji przeciwko zdanemu ofiar Molochowi wolnej konkurencji, zostały one uznane za instytucję gospodarczą. Dziś opinia znawców skłonna jest przywiązać do korporacji znaczenie Instytucji politycznej Stanów Zjednoczonych Ameryki. To ona przecież przeobraziła „Stany Małe Zjednoczone” w kraj, „o którym się nie śniło uczonym ekonomistom”.

Ale wraz z tym przeświadczeniem społeczność amerykańska zdobyła przekonanie — na podstawie smutnego doświadczenia doby kryzysów — że korporacja, instytucja będąca mistrzowskim instrumentem przemian gospodarczych, pozostawiona sama sobie, bez kierownictwa i bez jakiegokolwiek mechanizmu regulującego, zdolna jest zepchnąć kraj w otchłań klęski społecznej.

Właśnie pod wpływem wydarzeń kryzysu lat 1929—1933 rozpowszechnił się tak w Anglii jak w USA kierunek burżuazyjnej ekonomii politycznej zwany keynesizmem. Ten kierunek nie był dziełem tylko J. M. Keynesa, a nawet nie był on produktem myśli ekonomicznej całej grupy teoretyków, wśród których najefektowniejszy był Keynes. Nowy kierunek, znany pod popularną nazwą „gospodarki kierowanej”, był produktem burzliwych czasów doby wojen światowych. O ile jeszcze na przelomie naszego wieku i wieku poprzedniego twierdzono, że „najlepszą administracją jest ta, która najmniej administruje”, nowy kierunek sprawił, że „rząd stał się koniecznym partnerem świata gospodarczego” (Eugen V. Rostow: *Planning for Freedom. New Haven, 1959*). Rządy widzą się zmuszone czujnie śledzić rozwój wypadków gospodarczych, działalność korporacji i kształtować wnikliwie i starannie stosunki gospodarcze.

Własność przedsiębiorstwa cechują dwa szeregi atrybutów: 1) kierowanie życiem przedsiębiorstwa i 2) spożywanie plonów kapitału z chwilą gdy zacznie owocować. W przedsiębiorstwie przedkorporacyjnym nosicielem obu szeregów atrybutów jest indywidualny właściciel przedsiębiorstwa. W korporacji oba szeregi zostają od siebie odseparowane: kierowanie wykonaniem zadań przedsiębiorstwa należy do ustanowionych zarządców (*Board of Managers*), a spożywanie owoców zainwestowanego kapitału — do akcjonariuszy.

O managerach można powiedzieć ogólnie: korporacje są kierowane przez małe grupy nieusuwalnych oligarchów. Ci oligarchowie rekrutują się z określonej — wypolaryzowanej w procesie rozwoju kapitału przemysłowego i finansowego — warstwy społecznej (Burnham: *The Managerial Revolution, 1941*). Dokonanie zmiany osobowej w składzie managerów korporacji w drodze głosowania jest rzeczą bardzo kosztowną, jeśli nie wręcz niemożliwą — taka jest opinia znawców z USA. Teoretycznie źródłem władzy managerów jest wola udziałowców wyrażona w głosowaniu na

zebraniu udziałowców. Ale, jak podkreślają sami Amerykanie, nie managerowie są podporządkowani udziałowcom, ale odwrotnie — udziałowcy ulegają we wszystkim managerom. Ci ostatni bowiem mają zdecydowaną przewagę nad udziałowcami przez swoją znajomość możliwości przedsiębiorstwa i przez ten fakt, że są szarżami wpływów, jakimi dysponują w sferach czynników decydujących. Faktycznie i praktycznie managerowie są „właścicielami” korporacji („Owners” — tak ich nazywają), jakkolwiek posiadają zazwyczaj mały pakiet akcji. To oni przecież, nie akcjonariusze, spędzają bezsenne noce w trosce o pomyślność przedsiębiorstwa. A udziałowcy wykonują swe obowiązki w sposób jak najbardziej powierzchowny, pochłonięci grą na giełdzie i — jeśli ich na to stać — rozkoszami „dolce vita”. Pozostawiają oni managerom zupełną swobodę działania.

Rzecz jasna, że władza managerów nie jest nieograniczona, ale ogranicza ją nie interwencja udziałowców, która jest teoretycznie najzupełniej możliwa ale praktycznie niewykonalna, lecz czynniki rynkowe. Dla zrealizowania jakiejś poważniejszej decyzji w zakresie rozszerzenia działalności przedsiębiorstwa są potrzebne managerom dodatkowe środki pieniężne, a te mogą oni zdobyć tylko przez powiększenie kapitału akcyjnego, tj. przez ulokowanie na rynku nowych akcji korporacji. W tym względzie managerowie są zależni od opinii rynku inwestycyjnego. Mogą liczyć na uplasowanie na giełdzie no-

wych akcji tylko w tym wypadku, gdy giełda wierzy w żywotność i perspektywę danej korporacji. Tylko bardzo wielkie korporacje potrafią wygospodarować nowe środki z własnych rezerw.

Korporacja, choć nie jest pod żadnym względem organizacją państwową, ma, jak się rzekło, cechy instytucji politycznej, jest elementem ustroju politycznego. Korporacje kształtują — obok innych czynników politycznych — politykę państwa we wszystkich dziedzinach życia gospodarczego. Resursy materialne państwa i resursy materialne korporacji znajdują się ze sobą w stosunku ścisłej współpracy. Rozwój gospodarczy USA wykazuje tendencję do ukształtowania się mieszanego systemu własności przemysłowej — rządowo-prywatnej. Niektórzy postępowcy w USA, a obok nich przedstawiciele warstw jak najbardziej zachowawczych, skłonni są zakwalifikować to zjawisko współpracy i współdziałania między korporacjami a rządem jako objaw „skradającego się socjalizmu” („creeping socialism”). Oczywiście nie odpowiadają to realiom społeczno-gospodarczym — w najmniejszym stopniu. Można ten pogląd włożyć między bajki. Mamy w tym wypadku do czynienia z objawem nowoczesnego rozwoju czy „degeneracji” kapitalizmu — „rewolucji kapitalistycznej” w kategoriach amerykańskich.

2.

Fundacje Forda, Rockefellera są w Europie i u nas bardzo popularne. Korzystamy z nich skwapliwie i z wdzięcznością bez żadnej ujemnej dumy narodowej. Wiemy również, że w USA jest dużo innych fundacji o podobnych celach. Ale będzie chyba dla wielu rewelacją stwierdzenie, że fundacja jako instytucja masowa (w 1954 r. było ich w USA 30.000) jest pomysłem, konceptem, żeby nie powiedzieć chwytem czy sztuczką, kor-

poracji broniących się przed ciężkimi podatkami dochodowym i spadkowym. Początkowo fundacje powstawały z pobudek religijnych dla oczyszczenia sumienia czy gwoli „odkupienia przez miłość” (jaka przeżywa kapitalista przez utratę części swej własności) i dla uwiecznienia imienia wzbogaczonego ponad miarę przemysłowca. Takie były źródła fundacji Carnegie, Rockefellera. Dziś fundacje są fortelem businessmana (business device). Ustawodawstwo amerykańskie ma duży respekt dla działalności dobroczynnej — bo w państwach kapitalistycznych rozwój cywilizacji w najszerszym znaczeniu zależy od niej i jest w znacznym stopniu od niej prywatnej. W prawie północnoamerykańskim wykrystalizowało się nowe, prawne pojęcie dobroczynności (*charity*): „Coś, co czyni dla osiągnięcia jednego z czterech celów — ulżenia nędzy, rozpowszechnienia pobożności, postępu w oświeceniu lub jakiegokolwiek innej zdobyczy dla dobra całej społeczności” (*Radin: Law Dictionary: Charity*). Ustawodawstwo podatkowe północnoamerykańskie nakazuje odliczanie od podstawy wymiaru podatku spadkowego i dochodowego wartości majątkowych przekazanych dla celów dobroczynnych. Darczyńca tworząc fundację dla osiągnięcia jakiegoś celu dobroczynnego (oświatowego, naukowego, zdrowotnego itp.) oddaje na rzecz tego celu część swego majątku, ale ratuje się przed „potwornym” obciążeniem podatkowym — zachowując tytuł własności przy pomocy instytucji powiernictwa (*trust*). Beneficjariusz fundacji korzysta tylko z dochodów powierzonego fundacji kapitału. Darczyńca staje się dobroczyńcą społeczeństwa nie przestając być właścicielem kapitału ofiarowanego fundacji. Stąd wielka atrakcyjność tej instytucji dla kapitalistów. Nierzadkie są sytuacje humorystyczne. Wielkie przedsiębiorstwo przekaza-

(Dokończenie na str. 9)

W SIEDZIBIE Państwowych Wydawnictw Naukowych w Warszawie została otwarta wystawa książek tego wydawnictwa obejmująca produkcję za rok 1963. Zwiedzających zaskakuje tu fakt, że pod względem publikacji, i to z różnych gałęzi wiedzy, widnieje lakoniczna nota: wyprzedane. Jest to zgnienny znak. Książki naukowe w Polsce stały się takim rarytatem, jak bestsellery beletrystyczne. Poczytność ta świadczy na pewno dobitnie o wzrastającym czytelnictwie w kraju, o nowych zastępach inteligencji, ale także o jeszcze niedostatecznym nadążaniu wydawnictwa za potrzebami, dyktowanymi przez szerokie rzesze odbiorców. Jaskrawym przykładem tego stanu rzeczy może być ostatnio wydana książka Białostockiego pt. „Sztuka cenniejsza niż złoto”. Po kilku dniach nie można było jej dostać ani w księgarniach Warszawy, ani Lublina czy Wrocławia. A przecież tak samo dzieje się z innymi publikacjami. Czy to będzie Historia literatury francuskiej, czy Historia Anglii, czy małe encyklopedie PWN. Niestety znane trudności papierowe, a także „wąskie gardło” istniejące w technicznym stanie naszego przemysłu poligraficznego, uniemożliwiają pełne zaspokojenie potrzeb wydawniczych w tej dziedzinie. Wystarczy powiedzieć, że te ograniczenia hamujące produkcję wyrażają się ilością 132 tytułów książek naukowych wydanych w roku ubiegłym, których nie uświadczysz, czytelniku, nigdzie na krajowym rynku księgarskim. A to, co jeszcze zostało z pozostałej puli tego roku, nie przekracza 20%. Oto miara potrzeb i jednocześnie sukcesów PWN.

Skoro jesteśmy przy danych liczbowych, warto przypomnieć, że w roku 1963 ukazało się nakładem PWN łącznie 1170 książek i skryptów w objętości 18.700 ark. wydawniczych, w tym 237 podręczników dla studentów wyższych uczelni, a ponadto 74 czasopisma w objętości 4.000 ark. wyd. W stosunku do r. 1962 oznacza to utrzymanie poziomu ilościowego globalnej produkcji przy wzroście ilości wydanych podręczników i skryptów o ok. 20%.

A teraz o samych podręcznikach. Stale wzrastająca liczba studentów na studiach dziennych i wieczorowych oraz słuchaczy kursów zawodowych i podnoszenie kwalifikacji zawodowych prowadzi do sytuacji, w której wydawca — przy ograniczonych przydatkach papieru — nie jest w stanie zaspokoić potrzeb czytelników. Nakłady wznowianych podręczników i skryptów były w r. 1963 wyczerpane, wystarczając zaledwie na pokrycie zapotrzebowania bieżącego roku aka-

demickiego, nie pozwalając na stworzenie koniecznej rezerwy, która umożliwiłaby stałe utrzymanie w księgarniach najpotrzebniejszych, najbardziej poszukiwanych tytułów.

Wobec stojącego przed PWN zadania zaspokojenia przede wszystkim potrzeb studentów szkół wyższych, potrzeby innych czytelników pozostają — wobec ograniczeń dostaw papieru — nie zaspokojone. W r. 1963 nie

POGLĄDY I PRZEGLĄDY

KSIAŻKA NAUKOWA

JERZY GEMBICKI

można było wznowić „A-Z Encyklopedii Popularnej” ani też „Małej Encyklopedii Powszechnej” mimo istniejącego zapotrzebowania na nakład rzędu 300 do 400 tys. egz. każdej z tych encyklopedii. Nacisk czytelników, którzy nie zdołali subskrybować Wielkiej Encyklopedii Powszechnej, pozwala ocenić zapotrzebowanie sieci księgarskiej na nowe wydanie WEP w wysokości 150 tys. egz.

Jak wobec tego będzie wyglądała przyszłość?

Plan PWN na r. 1964 przewiduje wydanie 1.200 książek i skryptów, w tym 249 podręczników i skryptów dla studentów wyższych uczelni, o łącznym nakładzie 3.700 tys. egz., co oznacza dalsze utrzymanie się produkcji na poziomie lat poprzednich, podczas gdy nadal wzrastać będzie zapotrzebowanie na książki wynikające ze wzrostu liczby nowych studentów, nowych absolwentów, napływu nowego pokolenia czytelników książki.

Jeśli mowa o działalności PWN, nie można pominąć sprawy popularyzacji polskiej książki naukowej za granicą.

Rok 1963 przyniósł Państwowemu Wydawnictwu Naukowemu dalsze osiągnięcia w dziedzinie produkcji eksportowej. Szczególnie dobre wyniki odnotować należy na koncie wydań wspólnych. Mimo trudności uniemożliwiających pełne wykonanie zamierzeń w dziedzinie eksportu obcojęzycznych prac polskich autorów — ubiegły rok był dla tej działalności wydawnictwa wyjątkowo korzystny.

Zwłaszcza w porównaniu z wynikami poprzednich lat, w których liczba tytułów z wydań wspólnych — w skali rocznej — nie przekraczała 10—15 tytułów przy wartości rocznej wahającej się w granicach 960—1.860 tys. złotych.

W ciągu 1963 r. wyeksportowano z wydań wspólnych ogółem 23 tytuły o łącznym nakładzie ponad 68 tys. egzemplarzy, o wartości sięgającej sumy około 6 mln złotych.

Godne uwagi wyniki osiągnięto również w dziedzinie usług drukarskich. W 1963 r. wykonano ogółem 86 tytułów o wartości przekraczającej 14 milionów złotych.

Oprócz wydań wspólnych i usług drukarskich, PWN wykonało w 1963 r. 17 tytułów dla National Science Foundation — łącznej wartości 1.800.000 złotych. Łączne wpływy dewizowe za produkcję eksportową, wykonaną w 1963 roku wynoszą ponad 280.200 dolarów.

Osobną sprawą, która na pewno budzi zainteresowania czytelników w całej Polsce, to nowa inicjatywa PWN — seryjna publikacja książek popularno-naukowych w ramach wydawnictwa „Omega”. Co skłoniło PWN do tego ciekawego przedsięwzięcia? Oto przesłanki tego zamierzenia.

Ponieważ na każdym kroku stwierdzamy stale zwiększanie się dysproporcji między nauką a świadomością potoczną, język nauki staje się coraz bardziej hermetyczny; jej pojęcia w coraz mniejszym stopniu wyrażają z codziennego doświadczenia. Problem przewyciężenia ujemnych skutków pogłębiającego się rozszczepienia nauki na izolowane dyscypliny o coraz węższym zakresie specjalizacji, a zarazem przewyciężenia rozbieżności między nauką a świadomością potoczną — to problem, który stanął z całą ostrością przed naszym pokoleniem.

Zespół redakcyjny Współczesnej Biblioteki Naukowej „Omega” — pragnie, aby książki tej biblioteki dostarczały pomocy w samodzielnym rozumieniu nowych odkryć i wynalazków; by przyczyniły się do rozszerzenia horyzontów każdego z nas dzięki różnorodności tematyki; od biologii do ekonomii, od medycyny do literaturoznawstwa, od archeologii do techniki lotów międzyplanetarnych.

Dodajmy jeszcze, że cenę tych tomików obniżono o 33%. Obecnie każdy tomik kosztować będzie 10 złotych. Będą się ukazywać w regularnych odstępach 2 tomiki miesięcznie. Ogółem w roku bieżącym ukaże się 20 książeczek „Omegi”.

A więc spieszymy się z prenumeratą, żeby nie było za późno!

NIEZNANE LISTY STEFANA I OKTAWII ŻEROMSKICH

KRYSTYNA JABŁOŃSKA

WIOSNA roku 1909, w trakcie którego z pobytów Stefana Żeromskiego w Krakowie, jeden z miejscowych księgarzy, Marian Krzyżanowski, prowadzący aktualnie znaną i zasłużoną księgarnię wydawniczą pod firmą „S. A. Krzyżanowski” — zdeklarował pisarzowi gotowość nabycia praw do druku jego utworów, przede wszystkim nowości. Propozycja została przyjęta z zainteresowaniem. To upoważniło księgarza do ponownego, w parę miesięcy później, oferty. Żeromski tym razem odpowiada definitywnie Krzyżanowskiemu:*

Szanowny Panie!
Uprzejmie dziękuję za pamięć o mnie i naszej rozmowie wiosennej. Niestety! Nic jeszcze gotowego nie posiadam i nie mogę myśleć o rychłym wydawnictwie.

Łączę wyrazy szacunku i poważania
sługa powolny
S. Żeromski

Paryż d. 15.XI.1909

Ponowny kontakt nawiązany został w roku 1912. Inicjatorką tym razem była Oktawia Żeromska. W trakcie paromiesięcznego pobytu w Krakowie poznała oboje państwa Krzyżanowskich; zwyczajnie panujące w ich wydawnictwie. Ujęta życzliwością i serdecznością okazaną tu — „wydawczym” autorom, zdecydowała o konieczności nawiązania kontaktów wydawniczych. Par force więc sugerowała Marianowi Krzyżanowskiemu:

27/XII 1912

Szanowni Państwo!

Proszę napisać list do mego męża z ofertą, że wydawałobyście jego prace z chęcią. Ja przygotowałam grunt i on z Wami umówi się. Mortkowicz obiecał rzeczy, które pójdą w Warszawie ale jeszcze nawet nie oddał 3ciego wydania Sulkowskiemu, a tylko cenzuralne 4 tyś „Urody Zycia”. Może teraz drukować, drugie wydanie „Urody Zycia” na Kraków, Sulkowskiemu i Różę. Proszę napisać, że Sulkowski wyczerpany, że już trzeba śpieszyć się z drukiem, portret Stefan ma dla 3 tyś egzemplarzy. Co do „Róży” chciałby, żeby Kunceł zrobił mu naklejkę. Będzie tu Młodzianowski, to jego poprosi o rozmowę z Kuncelem.

Proszę tylko zaraz napisać, że chcecie zająć się drukiem Sulkowskiemu a potem Róży i Urody i Wiernej Rzeki, że możecie wejść z autorem w jakie on zechce stosunki. Czy składu głównego, czy wydawców, że możecie tak jak Mortkowicz płacić mu a conto tych książek co miesiąc sumę — jaką on tj. autor wyznaczy. Autor nie zechce dużych sum, a co do druku, to będzie wolał trochę staranniejsze wydania. Wierzy bardzo profesorowi Kunckowi — to też rachuje, że ten ostatni zgodzi się dać pomoc przy wybraniu czcionek, formatu itd.



Xawery Dunikowski — Portret Polki

Adres nasz: Zakopane — Bystre willa Nosal. Siedzimy tu do 4/I 1913 r. Serdeczne pozdrowienia i życzenia wszelkiej pomyślności łączę dla Obojga Państwa i Firmy

Oktawia Żeromska

Wydawca pospieszył z ofertą i w tydzień później Żeromski komunikował Marianowi Krzyżanowskiemu:

Szanowny Panie!

W odpowiedzi na jego list z dnia 30 grudnia 1912 r. spieszę donieść, że zgadzam się w zasadzie na propozycję wydania nakładem księgarni pod Firmą S. A. Krzyżanowski w Krakowie drugiego wydania dramatów moich p.t. „Sulkowski” i „Róża”. Pragnę tylko uczynić dwa zastrzeżenia:

1) Że egzemplarze muszą być numerowane
2) Do wydania „Róży” powinna być dodana winieta tytułowa, czy naklejka.

Co do numerowania egzemplarzy muszę nadmienić, że ten system stosowany był przeze mnie w wydaniach moich pism, drukowanych przez „Kasę pomocy pracowników księgarskich” i przez „Książkę”. Teraz więc stawiając ten warunek bynajmniej nie wyrażam jakiegokolwiek nieufności Szanownej Firmie Szanownego Pana, lecz nie chcę wyrazić jakiegokolwiek nieufności tamtym zresztem, które przez zaniechanie numeracji słusznie musiałyby się czuć dotkniętymi. Co

do warunków wydania i liczby egzemplarzy obu tych pism, to te omówimy z Szanownym Panem po moim przyjeździe do Krakowa w d. 8 b.m.

W nadziei, że to zapoczątkowanie naszego wzajemnego wydawniczego stosunku zamieni się na trwały stosunek, łączę wyrazy szacunku i pozdrowienia

sługa
S. Żeromski

Zakopane
willa „Nosal” na Bystrem
d. 3 I 1913.

Adnotacja wydawnictwa umieszczona nad nagłówkiem tego listu informuje: — „odpisano d. 4/I zgodnie (!) na warunki Ant.”

Pod koniec stycznia Żeromski przyjeżdża do Krakowa i w dniu 23.I. 1913 roku podpisuje z firmą S. A. Krzyżanowski umowę następującej treści:

Marian Krzyżanowski
księgarz
w Krakowie

Stwierdzam niniejszym, że odstąpiłem W Panu trzecie wydanie „Sulkowskiego” i „Róży” i że książki te drukować W Pan będzie w ilości po 2000 egzemplarzy z tym, że przy każdym tysiącu wolno jest W Panu nadbić po 50. — egzemplarzy na cele reklamy. —
Cena sprzedaży Sulkowskiemu wynosić będzie K. 6 — cena sprzedaży „Róży” K. 4.—

W oczach krytyków i odbiorców

(Dokończenie ze str. 3)

nie mogłem wtedy rzeźbić” — opowiadał prawie siedemdziesięcioletni więzeń nr 774. S. Flukowski opublikował w „Twórczości” fragment poematu „Xawery Dunikowski”. K. Wyka w tym samym zeszycie zamieścił entuzjastyczny esej, uznając mistrza za jednego z największych twórców narodowej kultury.

Trzy ostatnie wystawy warszawskie w Zachęcie (grudzień 1955 — styczeń 1956, zorganizowana w 80 rocznicę urodzin artysty) i w Muzeum Narodowym (1958 i 1961) wzbudziły podziw wystawionymi obok rzeźby bardzo osobistymi, niezależnymi i głęboko humanistycznymi obrazami.

Długie i pracowite życie wielkiego artysty, oddanego wychowawcy całych pokoleń uczniów, upamiętniło się ogromnym dziełem składającym się z dziesiątków wspaniałych pomników w naszych miastach i muzeach. Wkrótce rzeźby, malarstwo i szkice, wypełniające po brzegi trzy pracownie mistrza, udostępniłone zostaną publiczności. Swoje dzieło przekazał Dunikowski narodowi.

Stanisław Michalczuk

Honorarium moje obliczamy w wysokości 20% od ceny sprzedaży kalkulacji zatem więc przedstawia się w sposób następujący:

2000 egzempl. Sulkowski

à K 6 — K 12000

2000 egzempl. „Róża”

à K 4 — K 8000

cena sprzedaży łącznie K(oron) 20000

Honorarium 20% od 20000 Koron wynosi K 4000.— (Cztery tysiące) płatne

w ratach miesięcznych po K. 500 (Pięćset) z tym, że pierwsza rata

płatna jest dn. 1 lutego 1913 a dalsze

każdego pierwszego dnia następnego

miesiący

Równocześnie przyjmuję zobowiązania

WPana na przyszłość, że przy

transakcjach nakładowych dotyczących

nowości tj. wydań pierwszych,

ewentualnie wydań następnych w ilości

ponad 5000 egzemplarzy drukować

się mających, (skreślono słowo „obliczać”)

honorarium moje obliczać będziemy

w stosunku 25% od ceny

sprzedaży tj. z 1/4 —

Egzemplarze drukować się mających

książek zaopatrzone być mają bieżącymi

numerami.

Upoważnia mnie również W Pan,

bym czy to osobiście czy też przez

upoważnioną przeze mnie osobę ko-

rzystał z prawa kontroli ksiąg handlowych

Firmy WPana dotyczących wydawnictwa

moich utworów a to w czasie

przeze mnie oznaczonym.**

Korektę robić będzie p. Wasilewska

ewentualnie ktoś inny przeze mnie

zaaprobowany

Z poważaniem
Stefan Żeromski

(Dokończenie na str. 9)

EDWARD BAGRICKI

DYL SOWIZDRZAŁ

Przełożył

Kazimierz Andrzej Jaworski

Wiosennym rankiem na roście otwarte kuchenne drzwi, za których ciężki swąd płynie na zewnątrz. A tam w kuchni ścisł: ociera twarz swą rozpalony kucharz fartuchem, w którym widać pełno dziur, do filiżanek zerką i do rondli, podnosząc lekko miedziane pokrywki, ziewa szeroko i dorzuca węgli pod płytę, z której i tak bucha żar. A w papierowym kółku kucharezyk niezręczny jeszcze w trudach pracy swej wdrapuje się ku półkom po drabince, w moździerzu tłucze cynamon i muszkat, rekoma myli niedoświadczonymi korzeniami w puszках, krztusi się od swądu, co w nozdrza wpełza, wyciskając lzy z czerwonych ocz.

A dzień wiosenny, jasny.

jaskółek świr się zlewa z brzękiem rondli i filiżanek na kuchni. Kot mruczy i oblizuje się, ostrożnie pod krzesłami skradając się ku miejscu, gdzie go nęci kęs wołowiny, co ze stołu spadł, pokrytej cienką smaczną warstwą tłuszczu. Królestwo kuchni! Któż wysłowi dość twój siny swąd nad mięsem, co się smaży, twą lekką parę ponad złotem zup? Kogul, którego, być może, już jutro uśmierci kucharz, wyśpiewuje chryple wesoly hymn na cześć przepięknej sztuki, zarówno trudnej, jak i dobroczynnej. Ja po ulicy chodzę w taki dzień na dachy patrząc i czytając wiersze, — w oczach słoneczne plamy, zawrót głowy, głowy szalonej, w której szumi chmiel, i swąd wdychając, przypominam sobie tego włóczęgę, co jak ja być może pośród antwerpskich ulic kręcił się... Co umiał wszystko i niczego nie znał, rycerz bez szpady i bez sochy rataj. Może i on jak ja tak rzewnie wdychał z karczmy snujący się wesoly swąd: może i jego jak i mnie tak samo nęcił wędzony boczek i też chęćwie polykał gęstą ślinę jak i ja. A dzień wiosenny słodki był i jasny i dłońią swoją maclerzyńsko-cieplą

rozwiane włosy targał młody wiatr. I o drzwi karczmy oparty podróżny, wesoly człowiek, on jak ja być może, pod nosem nucąc szukał sobie słów do pieśni, której jeszcze nie wymyślił... Cóż z tego? Niechaj będzie mi sądona włóczęga wieczna i wieczna swawola, niech głodny stoje u drzwi wonnych kuchni wdychając zapach ucztowania obcych, niechaj się w strzępy zmieni me ubranie i buty zedre o kamienie ostre, niechaj zapomnę, jak się składa pieśń... Cóż z tego? Nęci mnie rzecz zgoła inna... Jak ten włóczęga niechaj przejdzie kraj, przy każdym drzwiach niech stane uśmiechnięty i jak skowronek zaświszcze wesolo, a wnet odpowie mi radosny kur! Piewca bez lutni, żołnierz bez oręża, spółkam dni przyszłe jak czary po brzeg miodem złocistym, mlekiem wypełnione. A gdy zmęczenie już owładnie mną i zasną śmierci najmocniejszy snem, — niech na nagrobku niechaj przejdzie kraj, pielgrzymi kij z jesiona wystrugany nad ptakiem, nad szerokim kapeluszem. I niech napiszą: „Tu spoczywa cicho wesoly pątnik, co nie umiał płakać. Przechodniu! Jeśli ukochałeś też wiatr i przyrode, pieśń i wolność świętą, powiedz mu: Spij spokojnie, towarzyszu, dosyć śpiewałeś, czas już teraz spać!”

TRUDNA DROGA POWIATU KRAŚNICKIEGO

(Dokończenie ze str. 1)

— Kraśnicka Fabryka Wyrobów Metalowych ze swoim eksportem do kilkunastu krajów świata powoduje, że statystycznie wyroby przemysłowe stanowią w produkcji globalnej powiatu około 60 proc. Ale chyba mimo to jesteśmy powiatem rolniczym?

— Oczywiście. Warto to przypomnieć, że przed wojną 15 proc. ziemi znajdowało się w rękach zaledwie 55 wielkich właścicieli ziemskich. Reforma rolna przeprowadzana zaraz po wyzwoleniu pozwoliła na upelnorolenie 3.271 chłopskich gospodarstw rolnych i pokazało przekroczenie produkcji, o czym już mówiłem. A mimo to nie wykorzystaliśmy jeszcze w pełni naszych możliwości, zwłaszcza żyznych gleb w południowo-wschodnim rejonie powiatu. Tam sprawa rozbija się głównie o złe jeszcze drogi. Budujemy, za pieniądze państwowe i w czynnie społecznym, ale wciąż jeszcze mało. Tak samo mamy braki w mechanizacji. Chodzi o maszyny, garaże, warsztaty remontowe, obsługę. Mamy stosunkowo najwięcej bydła w województwie, ale zarazem doszliśmy do pewnego paradoksu. Brak bazy paszowej powoduje, że nie naciskamy już o zwiększenie ilości, ale podnosimy jakość przez odpowiedni dobór ras, selekcję, właściwe metody hodowli.

— No to czy nie możecie wziąć się do zwiększania owej bazy paszowej?

— Sekretarz chwilę milczy. Potem zastrzega się, że mówi całkiem prywatnie i wolno cedząc słowa wyjaśnia:

— Mieliśmy przed wojną małą bo małą, ale własną cukrownię w Zakrzówku. Jednak dbający tylko o własne interesy kartel cukrowniczy zamknął ją w roku 1931, a potem ją rozbebrał. Do dziś pozostały tylko nasypy. Od pewnego czasu zabiegamy o to, aby w przyszłości zlokalizować u nas budowę dużej cukrowni. Ma być nawet większa od tej, którą uruchomiono niedawno w Werbkowicach. Ale taka inwestycja kosztuje ponad pół miliarda złotych. Zdajemy sobie sprawę, że w tej chwili państwo nie może zdobyć się na taką dodatkową, a bardzo kosztowną inwestycję. Ale planować trzeba na pojutrze. Dlatego jeździmy i tłumaczymy, wyliczamy, że przeciętna wydajność buraka cukrowego w województwie jest niższa niż w naszym powiecie, że gleba jest odpowiednia dla buraka, że pozostałe na terenie powiatu wyśledki pozwolą na dalsze zwiększenie hodowli, już trochę na zapas budujemy drogi w rejonie Zakrzówka, Batorza, Szastarki. Mamy oczywiście konkurentów w innych powiatach, ale nie rezygnujemy.

— Jednak o przemyśle też chyba nie trzeba zapominać. Słyszałem, że nie udało się tu zrobić filii Łukowskiej Fabryki Obuwia?

— Rzeczywiście nie udało się, ale to z naszej winy. I dlatego rozpatrujemy sprawę ponownie. W Łukowie są już maszyny, u nas władze miejskie nie znalazły odpowiednich pomieszczeń. A to przecież praca dla 200 kobiet, których właśnie w Kraśniku Fabrycznym jest „nadmiar”. Zresztą cały powiat ma nadwyżki siły roboczej. Około 15 tysięcy ludzi znajduje pracę w innych powiatach. Trzeba powołać, ale konsekwentnie, rozbudowywać własny przemysł. Na początku planu sześciolletniego uruchomiliśmy kopalnię fosforytów w Anopolu, jedyną kopalnię w województwie. Potem nasycaliśmy podkładów kolejowych w Lipie, tartak w Lipie i Zaklikowie, przemysłownię w Jasicach, zakłady silikatowe w Lipie i inne. To olbrzymi skok, ale potrzebny są większe. Poza KFWM na rozbudowę przemysłu wydaliśmy po wojnie ponad 30 milionów złotych, na drogi 78 milionów, na budowę szkół 108 milionów, na urządzenie gospodarki komunalnej 12 milionów złotych. To coś znaczy.

Wyznaczony na rozmowę czas już dawno minął, a poruszyliśmy tylko część spraw. Idę więc na drugą stronę ulicy. Tu moim rozmówcą jest sekretarz Prezydium PRN, Stanisław Kucharek. Równoległe przewodniczący Powiatowej Komisji Planowania Gospodarczego, Kazimierz Mycka, z pękatych teczek wyciąga odpowiednie zestawienia, sprawozdania, wyliczenia.

— Jak wiecie, istnieją dwa Kraśniki — rozpoczyna sekretarz Prezydium — stary i nowy, Fabryczny. Administracyjnie są rozdzielone, ale dążymy do tego, aby zrosły się w całość.

— Urbanisci nie bardzo chcą się na to zgodzić — wtrącam. — Opracowywany właśnie plan zagospodarowania prze-

strzennego wywołuje na ten temat poważne kontrowersje.

— Tak, ale ostatecznie my będziemy przyjmowali lub odrzucali plan. Zresztą wzdłuż kilkukilometrowej szosy łączącej oba miasta wciąż rosną nowe obiekty, nowe domy. Prędzej czy później muszą się zrosnąć. Dlatego też między innymi wielki szpital, budowany w dużej części czynem społecznym, zlokalizowaliśmy niemal w środku. KFWM powstała przed wojną jako fabryka amunicji, jedna z inwestycji Centralnego Okręgu Przemysłowego. Ale ledwo zaczęto produkcję na małą skalę, wybuchła wojna. W czasie okupacji hitlerowcy chcieli tam zrobić wielką bazę naprawczą dla czołgów, ale ożywiona w naszym rejonie partyzantka zmusiła ich do rezygnacji z tego planu. To chyba też wielkie zwycięstwo działających u nas oddziałów GL i AL, nie notowane w historii oficjalnej. Wszystko, co tam pracuje dzisiaj, łącznie ze znaczną większością miasta, powstało w okresie władzy ludowej. Kraśnik Fabryczny to miasto socjalistyczne, jedno z tych, które swoje istnienie zaczęły w Polsce Ludowej.

— Swego czasu Anopol rzucił hasło aktywizacji małych miasteczek. Hasło, które przyjęło się w całym województwie, które stało się wielkim programem społecznym na XX-lecie. Jak wygląda w powiecie realizacja tego hasła?

— Wystarczy chociaż na chwilę pojechać do Annapola, aby zobaczyć, że to zupełnie inna miejscowość niż przed trzema laty. Inicjatywa stała się zaradliwa. Wilkołaz, Trzydnik, Gościeradów i inne miejscowości podjęły hasło już w r. 1962 — wyniki można zobaczyć na miejscu. Może się przeceniać, ale chyba tu leży źródło wezwania, które później rzucił I sekretarz KW PZPR Władysław Kozdra: zmieniamy oblicze wsi lubelskiej. Podjęły je wszystkie wsie powiatu, wszystkie wsie województwa. Nie potrzebujemy się wstydić. Wkład ludności w aktywizację i porządkowanie wyniósł w roku ubiegłym 11 milionów złotych. Nasz Zaklików, przez wiele lat zagubiony w śmieciach, zdobył w 1963 r. pierwsze miejsce w wojewódzkim konkursie czystości. To cieszy niezmiernie. W latach 1963/64 wybudujemy 12,5 kilometra drogi, na co społeczeństwo da 5,5 miliona złotych. Czynem budujemy ośrodek zdrowia w Wilkołazie, w planie mamy Studzianki, Urzędów, Polichnę, Anopol. Kończymy wielkie domy kultury w Szczepnie i Polichnie, dom gromadzki w Książomierzy. W lipcu chcemy otworzyć w siedzibie powiatu

Porównania

Nie wszyscy lubią cyfry. Ale tak już jest, że właśnie cyfry liczą się w dzisiejszym świecie, że nie słowami, ale cyframi udowadniamy osiągnięcia lub braki. Oto krótkie tylko wyjątki za porównaniem, jakie udostępnił nam w Prezydium PRN w Kraśniku, gdy rozmawialiśmy o sytuacji przedwojennej i obecnej ziem tworzących dzisiejszy powiat kraśnicki. Komentarza do tych cyfr chyba nie potrzeba.

Zagadnienie	1939	1962
Ludność ogółem	96.000	108.350
„ miast	10.000	24.550
zatrudnienie w przemyśle	700	6.847
zakładów przemysłowych	1	8
plony zbóż z 1 ha	9 q	18,8 q
„ buraka cukrowego	180 q	299 q
bydła na 100 ha zelektryfikowane	30 szt.	56 szt.
wsie	13	140
wodociągi	—	17 km
kanalizacja	—	13 km
długość ulic	30 km	395 km
izb mieszkalnych	35.300	50.602
osób na 1 izbę	4,5	2,2
przedszkoli	1	17
szkół podstawowych	36	88
„ ogólnokształcących	1	5
innego typu szkół	—	12
świetlice	4	18
kin	1	11
bibliotek	1	21
ośrodków zdrowia	4	11
lekarzy	8	76
pielęgniarek	15	116

zorganizowane wyłącznie własnym wysiłkiem muzeum Ziemi Kraśnickiej. Budowa urządzeń komunalnych na wsi będzie podparta 5-milionowym wkładem ludności. Kraśnik otrzyma w lipcu „Park Dwudziestolecia”, urządzonego naszym wysiłkiem. W całym powiecie zasadzimy na Dwudziestolecie 200 tysięcy drzew, głównie dzięki pomocy młodzieży. W tym roku chcemy zakończyć wymianę wszystkich dachów na ogniotrwałe.

— Program bardzo ambitny. Ale wiem, że wasi działacze z Powiatowego Komitetu Frontu Jedności Narodu, w oparciu o władze partyjne i administracyjne, potrafią to zrealizować.

— Wierzymy w naszych działaczy, w pomoc wszystkich władz, ale przede wszystkim wierzymy w nasze społeczeństwo. Na wsi kraśnickiej są jeszcze żywe tradycje przedwojennej biedy, głodu, zacołowania. Chłopi widzą i odczuwają zmiany, jakie już zaszły i wciąż zachodzą. To wyzwala ich dalszą inicjatywę, podwaja wysiłki. Jest jeszcze inny powód naszej dumy i ambicji. To przecież na terenie naszego powiatu powstała w czasie okupacji Robotniczo-Chłopska Organizacja Bojowa — załóżek późniejszej Gwardii Ludowej. To od nas wyszło wielu czołowych późniejszej partyzantki. Chcemy być godni tej wielkiej tradycji, chcemy, aby czyn XX-lecia PRL postawił nas w czołówce powiatów nie tylko naszego województwa.

Jerzy Dostatni

CHLUBNE

N IEMAL dokładnie 111 lat — z rocznicą trzech dni — przed powstaniem Krajowej Rady Narodowej utworzona została w Paryżu z inicjatywy Lelewela organizacja bojowa „Zemsta Ludu”. Z jej polecenia w następnym roku pułkownik Józef Zaliwski podjął wyprawę partyzancką z Galicji do Królestwa Polskiego. Pierwszy oddział liczył zaledwie 8 ludzi, następnie były niewiele liczniejsze. Zarówno sam Zaliwski, jak i inne oddziały, przez pewien czas przebywały na pograniczu powiatu kraśnickiego — w Modliborzycach i między Kraśnikiem a Opolem. Jedną z ogłoszonych wówczas odezw „Zemsty Ludu”, kolportowana w okolicach Kraśnika, głosiła m. in.:

„Panowie z Bożej łaski, do rządzenia ludem polskim uprzywilejowani, niewiekuista jest władza wasza, nowa wiara jak balsam weszła w serca ludu, uczuł on całą godność swoją. Drżycie, jeśli was chce jeszcze bierze tamowania objawiającej się ich woli, runiecie wśród tronów, wierni ich służalce”.

Partyzantka Zaliwskiego zakończyła się tragicznym niepowodzeniem. Ale lud polski nie zaprzestał walki — ani o niepodległość, ani o wyzwolenie społeczne. Ostatni akt tej walki, już zwycięskiej, już w pełni dojrzałej politycznej i społecznej, rozpoczął się właśnie w powiecie kraśnickim.

PODNIĘŚĆ RANGĘ KULTURY

P OWIATOWY Dom Kultury w starym Kraśniku miał być przekazany społeczeństwu jeszcze w r. 1962. Ale nie jest do dzisiaj. Trudno dociec, kto winien. Wtajemniczeni opowiadają, że w czasie pierwszych prac remontowych (starego budynku) okazało się, iż właściciele mury powinny wisieć w powietrzu. A ponieważ nie chcieli, trzeba było bardzo wiele zmieniać, poprawiać, uzupełniać. Tak to już jest z budownictwem kulturalnym niema wszędzie.

Gdy zapytałem jednego z luminarzy powiatu, co myśli o sytuacji w dziedzinie kultury, odpowiedział:

— Przede wszystkim musimy podnieść rangę kultury wśród władz. Ani Wydział Oświaty i Kultury PPRN ani Zakładowy Dom Kultury w Kraśniku Fabrycznym nie spełniają swojego zadania. Podobnie jak zespół taneczny PRN — wciąż te same pary, wciąż te same numery.

Dwuosobowy Referat Kultury zajmuje w Wydziale Oświaty dwie trzecie małego pokoiku. Kierownik referatu był kiedyś kierownikiem wydziału, trudno więc dziwić się, że ma pewien żal w sercu. I pozycja mniejsza i zarobki niższe. Nawet zastępcząją niskie: 1.300 złotych co w warunkach miejscowych oznacza mniej, niż zarabia dozorca basenu sportowego przy KFWM!

— Panie — powiadają mi — drugie tyle zarabia jako akompaniator i przez inne dodatkowe prace.

Nie dziwię się. Zwłaszcza gdy dowiaduję się, że jeszcze półtora roku temu jeździł po powiecie w sprawie skupu kartofli i zboża. W wesołym roku też go wyznaczali do tych akcji, ale po prostu nie pojechał. Czy tu, czy gdzie indziej tkwi źródło niechęci — nie wiem, w każdym razie faktem jest, że stosunki nie układają się dobrze, że brak wzajemnego zaufania.

Jeżeli zaś chodzi o Zakładowy Dom Kultury — inaczej na niego patrz w starym Kraśniku, inaczej w Fabrycznym. Pozbawieni własnego ośrodka kulturalnego, mieszkańcy starego chcieliby w zakładowym znaleźć panaceum na wszystkie braki. Ale chociażby brak komunikacji późnym wieczorem uniemożliwia udanie się do ZDK, albo zmusza do nieco przydługiej wędrówki pieszej.

W Kraśniku Fabrycznym mówią inaczej. To jest nasz, zakładowy dom kultury, utrzymuje go rada zakładowa KFWM. I to prawda. Tylko że umieściła go w jednym worku ze sportem. Nie byłoby w tym jeszcze nic specjalnie złego, gdyby nie to, że kulturze wylicza się dokładnie plan dochodów i wydatków, natomiast dla sportu przewidziano jedynie wydatki. Jakby za bilety na mecze nikt grosza nie płacił.

W samym zaś ZDK powiadają: mamy 3 zespoły teatralne dorosłych, 1 młodzieżowy i 1 dziecięcy, chóry młodzieżowy i dziecięcy, kwartet męski, tercet żeński, solistów, 4 grupy baletu, zespół recytatorski, kółko plastyczne, modelarnie szkatułniczą i lotniczą, bibliotekę, kursy języka angielskiego, dyskusyjny klub filmowy, odczyty TWP...

I rzeczywiście — zespoły jeżdżą po powiecie, mają powodzenie, recytatorzy odnieśli sukcesy w ogólnopolskich turniejach. Ale byłem np. na seansie dyskusyjnego klubu filmowego. Zadnej prelekcji, żadnej dyskusji, nawet usiłowania, by ją zacząć. Na sali ok. 40 osób. Podobno dlatego, że w czasie półrocznego remontu sali liczba telewizorów podskoczyła do tysiąca — ma go już prawie co druga rodzina. Operetka lubelska kiedyś przyjeżdżała co miesiąc, teraz co pół roku. „Ostatnio straciliśmy 15 tysięcy złotych, jeżeli zapłacicie ryczałtem 35 tysięcy złotych, zawsze przyjedziemy” — powiadają w operetce. Kierownik ZDK replikuje: „Nie przyjeżdżajcie ze zgranyimi sztukami, wielu z nas widziało je już w Lublinie. Gdybyśmy mieli zapłacić 35 tysięcy złotych musielibyśmy sprzedać wszystkie miejsca (500 pięknych foteli) po 70 złotych, a gdzie nasze własne wydatki?”

Można by jeszcze dużo powiedzieć o nieco zapomnianych już garnarczach z Urzędowa, o personalnych rozgrywkach w Dzierzkowicach, które zagrażają istnieniu znanego zespołu kukielkowego Wł. Pruszyńskiego, o wysokich, a chyba niezupełnie prawidłowych wyplatach „ludziom od kultury” przyjeżdżającym z Lublina...

Ale sens leży w tym, aby rzeczywiście podnieść rangę kultury wśród władz powiatowych i miejskich. I postawić sprawę jasno: trzeba kierownikowi referatu kultury dać odpowiednie warunki, zapewniając zarobki, które nie będą go zmuszały do bębnienia po klawiszach w takt twista czy kujawiaka. Kultury chyłkiem uprawiać się nie da.

(d)

W lipcu 1941 r. powstała w Kraśniku pierwsza w województwie lubelskim, a jedna z pierwszych w kraju, zdecydowanie lewicowa organizacja podziemna — „Robotniczo-Chłopska Organizacja Bojowa”. Założyli ją członkowie b. KPP — Michał Wójtowicz, Aleksander Szymański i Stanisław Szot. Po miesiącu istniały już komórki w Trzydniuku, Zakrzówku, Brzozówce, Urzędowie, Anopolu, Koninie. Dzięki udanej akcji na niemiecki magazyn zbożowy zdobyto pół miliona zł, co pozwoliło na szybką realizację planów — zdobywanie broni i wydawanie ulotek. W styczniu 1942 r. było już 46 kół, grupujących tysiąc zaprzysiężonych członków. Dodajmy, że myśl powołania tej organizacji powstała wśród słuchaczy szkoły spółdzielczej w Zakrzówku.

Gdy zaś 5 stycznia 1942 r. powstała pierwsza na Lubelszczyźnie komórka Polskiej Partii Robotniczej — Robotniczo-Chłopska Organizacja Bojowa natychmiast zgłosiła swój akces, stając się załącznikiem przyszłych oddziałów Gwardii Ludowej i Armii Ludowej.

Na wiosnę tego roku powstał w Kraśniku Komitet Powiatowy PPR, a następnie w Zakrzówku, Lipie, Grabówku, Potoku, Urzędowie i in.

Pierwszym dowódcą oddziałów GL i AL w województwie lubelskim, w nomenklaturze konspiracyjnej nazywanym Obwodem II, został właśnie Michał Wójtowicz, który niemal w przededniu wyzwolenia zginął od kuli zdradcy przed dworcem lubelskim. Następnymi dowódcami byli: Mieczysław Moczar i Grzegorz Korczyński, ten ostatni najpierw dowodził oddziałami partyzanckimi w powiecie kraśnickim. Dziś obaj są generalami Wojska Polskiego i niejednokrotnie odwiedzają strony, w których kiedyś toczyli boje o niepodległość.

Pierwszy w kraśnickim oddział GL powstał we ws. Ludmiłówka. W jego skład wchodziło także kilku zbiegłych z niewoli niemieckiej żołnierzy radzieckich. Pierwszą jego akcją było zniszczenie urzędu gminnego w Dzierzkowicach. Drugi oddział powstał w rejonie Lipy, a wkrótce wstawił się udanymi akcjami na urząd gminny w Kosinie, mleczarnię w Zdziechowicach oraz areszt w Zaklikowie. Na początku lutego 1941 r. stan oddziałów wynosił 1.140 ludzi, a w czerwcu 1.997, nie licząc ponad 100-osobowej ekipy sanitarnej.

Trudno wymienić rozliczne akcje bojowe przeprowadzane przez oddziały GL i AL. Ich zwycięskie walki, szerokie poparcie u ludności, rewolucyjne hasła społeczne i polityczne stanowią poważny wkład w zwycięstwo, którego dwudziestą rocznicę obchodzimy w roku bieżącym.

(j)

Turystyka - wielka rzecz

ZYGMUNT CIESIELSKI

JEDNYM z zasadniczych zadań komisji krajoznawczych PTTK jest, jak wiadomo, poznanie i popularyzowanie kraju, jego krajoznawczych w PTTK jest rolą nadzorną i bardzo istotną w pracy Towarzystwa Krajoznawczo-Turystycznego.

6 lutego br. odbyła się narada robocza Okręgowej Komisji Krajoznawczej PTTK w Białymstoku. Ponieważ poruszone na niej problemy, wydaje się, w większości są wspólne dla różnych województw, warto chyba bliżej nimi się zająć. Oto najważniejsze z nich.

Województwo białostockie staje się coraz bardziej popularne wśród turystów całego kraju, województwo, a raczej jego część północna i Puszcza Białowieska. Pozostała część województwa, a więc tereny nadbużańskie z pięknym Drohiczyńskim i Mielnikiem oraz z szeregiem starych, podupadłych zabytkowych miasteczek, takich jak Brańsk, Bielsk Podlaski, Boćki, Kleszczele, Siemiatycze i Ciechanowiec, także znajdująca się blisko Białegostoku Puszcza Knyszyńska, jest przez turystów niemal nie odwiedzana. Popularyzacją tych terenów, bardzo ciekawych i pięknych, zajmie się w tym roku Komisja Krajoznawcza, powołując organizowanie rozmaitych imprez właśnie na tych terenach wspomnianych, a także publikując o nich informacje, artykuły i materiały w prasie, radiu i periodykach turystycznych.

Na naradzie komisji omawiano też sprawę wydania folderów i przewodników po poszczególnych miastach i terenach dotąd nie objętych przewodnikami turystycznymi. Warto przypomnieć, że jedynym przewodnikiem turystycznym po tu wymienionych terenach jest ciągle jeszcze przewodnik Orłowicza, wydany w 1937 r. Pomińmy sprawę jego aktualności, wystarczy chyba to, że jest on praktycznie niedostępny przeciętnemu turyście. Oczywiście trudno zaspokoić od razu te dość duże potrzeby wydawnicze, szczególnie biorąc pod uwagę minimalny budżet Komisji. Ma ona jed-

nak nadzieję uzyskać poparcie finansowe w WKKFIT oraz w poszczególnych radach narodowych.

W celu większej popularyzacji niektórych mało jeszcze znanych terenów województwa postanowiono wyznaczyć szlak turystyczny wiodący przez Czerwone Bagno przy granicy rezerwatu leśnego.

Nie są to jedyne zadania popularyzatorskie. Dodajmy do tego jeszcze przeszkolenie przewodników, organizatorów wycieczek, oraz odczyty i prelekcje popularne. Generalnym szturem będzie zorganizowany na wiosnę Sejmik Krajoznawczy, na którym omówiliby się sprawę praktyki krajoznawczej w organizacji wycieczek i imprez (wiele na temat niedoceniania treści krajoznawczych w turystyce pisano i mówiono), sprawę kultury turystycznej, ochrony przyrody i zabytków, no i oczywiście popularyzacji krajoznawstwa.

Popularyzację osiąga się między innymi przez dobrą informację i dlatego poświęcono jej niemało wypowiedzi. Postanowiono m. in. uzupełnić i uzupełniać nadal brakujące tablice na zabytkach przyrody i architektury, tablice informujące o rezerwach i miejscach zabytkowych nieco od szlaku odległych itp.

W związku z zainteresowaniem naukowców zabytkami Tykocina i sporej ilości ciekawego materiału faktycznego, a także w związku z przekazaniem pod zarząd PTTK zabytkowego alumnatu, komisja krajoznawcza postanowiła zaopiekować się szczególnie tym zabytkowym miastem i stworzyć tam maksymalnie dobre warunki do zwiedzania. Zagospodaruje się więc krajoznawczo ruiny zamku tykocińskiego i urządzi kącik historyczny w alumnacie. Warto pomyśleć też o przeszkoleniu przewodników po Tykocinie. Oczywiście spośród jego mieszkańców.

Trzecią, żywo dyskutowaną sprawą była sprawa ochrony przyrody. Dyskusja, która wywiązała się na te tematy, nie została z braku czasu doprowadzona do końca, do niektórych problemów w niej poruszonych wy-

(Dokończenie na str. 11)

Ludzie Lubelszczyzny

WIECZÓR Z PROFESOREM PIESZKA

BOHDAN KRÓLIKOWSKI

PROFESORA Pieszkę znają w Zamościu wszyscy. Nic dziwnego. W czasie przeszło czterdziestu pięciu lat pracy w tym mieście Michał Pieszko potrafił zdobyć sobie serca całego społeczeństwa, stał się w Zamościu jedną z najbardziej popularnych i charakterystycznych postaci. Profesor Pieszko to nie tylko długoletni nauczyciel (i to świetny nauczyciel) historii i geografii w Liceum im. J. Zamoyskiego, to także niestrudzony badacz dziejów Zamościa, miłośnik regionu, zapalony krajoznawca i przewodnik po mieście, mówca, społecznik i bibliofil.

Drobna figurka starszego pana (73 lata) mimo niedawnej ciężkiej choroby żywo porusza się w drodze do szkoły, niebieskie oczy marzyciela błyszczą dawnym ogniem. Profesor nie wybiera się na emeryturę; jest, jak mówi, jeszcze na to za młody. Ba, jakby mu praca w szkole i prowadzone od lat czterdziestu badania przeszłości Zamościa jeszcze nie wystarczały, podjął przed dwoma laty pracę na stanowisku kustosa zbiorów geologicznych „Zamojskiego Uniwersytetu”, które zresztą wzbogacił hojnym darem cennych minerałów przez siebie ongiś uzbieranych.

Siedzę przy stole w zacisznym mieszkanku Profesora, w jednej z nowych dzielnic miasta. Ściany obłożone książkami. Kilka obrazów, m. in. ze starego portretu patrzy Jan Zamoyski, którego Profesor jest wielkim entuzjastą — zresztą rzecz dziwna: jest uderzające podobieństwo w rysach Kanclerza i Profesora — to samo wejście mądrych oczu, podobnie sklepione czoło.

Profesor opowiada o swojej młodości, trudnej młodości robotniczego syna, o początkach swojej działalności na terenie Zamościa. Studiował na Uniwersytecie Lwowskim współbieżnie geografii i historię, słuchając wykładów E. Romera, R. Zuberera i J. Siemiradzkiego z geografii, a O. Balzera, Wł. Semkowicza, St. Zakrzewskiego, Br. Dembińskiego, i Sz. Askenazego z historii.

Po dwuletniej asystenturze u Br. Dembińskiego, uzyskawszy w latach 1916/17 magisteria z geografii u Romera i z historii u Dembińskiego porzucił Lwów, zrezygnował z kariery uniwersyteckiej, by podjąć pracę w otwartym właśnie gimnazjum w Zamościu. „To była swoista, niepowta-



rzalna atmosfera — mówi prof. Pieszko wspominając początki swej pracy w Zamościu — mimo, że był to dopiero rok szkolny 1917/18, czuliśmy — i my i uczniowie, że to koniec niewoli, zachłystywaliśmy się wolnością, niepodległością, oczekiwaną z miesiąca na miesiąc”.

Naturze profesora Pieszki obca jest wszelka bierność, beczynne oczekiwanie na rozwój wypadków, nie przeto dziwnego, że młody nauczyciel z kilkoma kolegami, a zwłaszcza ze zmarłym przed kilku laty biologiem Stefanem Milerem, rozpoczął w okolicznych wioskach akcję odczytów, oczywiście tajną, chcąc chłopów jak najlepiej przygotować do życia w wolnej Polsce, jak najwięcej im o Niej powiedzieć. Takich konspiratorów krążyło w tym czasie wielu, mimo że Austriacy sądzili ich w razie złapania w trybie doraźnym i wieszali.

„W maju 1918 r. — wspomina Profesor — wyjechałem z odczytem do Skierbieszowa. Okazja była świetna — odpust, pełno ludzi, łatwo było urządzić zebranie pod pozorem towarzyskiej wieczorynki. Trzeba trafić — napotczyli się żandarmi, oczywiście od razu areszt, protokół... i kto wie, czym by się to skończyło, gdyby nie miejscowy „dziedzic” — Świdziński, który wywoławszy wachmistrza żandarmów, tak go przepłacał, że natychmiast mnie puszczono, zapisawszy w protokole, że miałem pogadankę o królowej Jadwidze”.

Pytam Profesora o początki jego zainteresowania się Zamościem, jego historią i zabytkami. Okazuje się, że człowiekiem, który „nawrócił” prof. Pieszkę na „zamojską wiarę” był asystentem dla miasta Z. Kłossowski — aptekarz, a jednocześnie założyciel za carskich czasów tajnej biblioteki oraz autor popularnych broszurek i artykułów o Zamościu wydawanych przez braci Pomarańskich.

„Zamość ówczesny — opowiada p. Pieszko — tzn. z lat 1917—1920 był miastem, w którym trudno było odnaleźć urok renesansowego citta

trzeba było sobie dopiero wyobrazić co kryje się pod nawarstwoną w okresie zaborów brzydota. Kamienice w Rynku oblepione były balkonami, podcienia przyslonięte kramami, zamalowane sztylami w dwu językach. Sam Ratusz był zwykłą kamienicą bez atyki i ozdób, tyle, że z wieżą. Plac przed Ratuszem wysadzony był dużymi drzewami. Dodawszy do tego Kolegiatę ze skróconą wieżą, walący się kościół franciszkanów, brudne uliczki i nędzne przedmieścia za resztkami umocnień — uzyskamy obraz ówczesnego Zamościa, jak pan widzi, mało zachęcający”.

Profesor Pieszko jeden z pierwszych potrafił dostrzec urok Zamościa, potrafił miasto pokochać. Było to uczucie bardzo czynne i łatwo udzielające się innym. Profesor jest autorem trzykrotnie napisanego w coraz to lepszej wersji przewodnika po Zamościu i okolicach (ostatnia wersja jeszcze nie wydana?), a także mistrzem kilku pokoleń przewodników po Zamościu, przeważnie uczniów gimnazjum, członków Koła Krajoznawczego. Sam zresztą chętnie oprowadza do dziś po mieście co „ważniejszych” gości — architektów, naukowców, wycieczki zagraniczne.

Największym jednak dziełem Michała Pieszki jest przygotowywana od lat czterdziestu ogromna monografia Zamościa i okolic. Materiał do niej gromadzony był w czasie corocznych wyjazdów do archiwów i bibliotek całej Polski. Zamościana skrzętnie wyłowione, opisane z dokumentów często dziś nie istniejących zapełniają w mieszkaniu p. Pieszki całą szafę. Ostateczna redakcja książki, połączenie i uzupełnienie poszczególnych rozdziałów itp. prace przygotowawcze, końcowe mają według obliczeń autora zająć jeszcze około trzech lat. Będzie to prawdziwe opus vitae — owoc długiego i pracowitego życia, pełnego wyrzeczeń i trudów z myślą o celu. Sędziwemu Autorowi trze-

ba tylko życzyć sił do pracy, bo trudności ze znalezieniem wydawcy na pewno nie będzie.

Sylwetka tego miłośnika i badacza regionu nie byłaby pełna, gdybym nie dodał, że prof. Pieszko jest zapalonym bibliofilem i zbieraczem książek (zgrupował ich około trzech tysięcy, w tym liczne *cimelia* szesnastowieczne — Kromer, Kallimach, Heidenstein itd. Niestety, znaczna ich część spłonęła w czasie Powstania Warszawskiego), jednym z członków-założycieli zamojskiego Koła Miłośników Książki. W tym zakresie był Pieszko jednym z najbliższych w swoim czasie współpracowników Zygmunta Klukowskiego, o którym wyraża się z wielkim uznaniem i przyjaźnią, nazywając go żartobliwie „wielkim mistrzem loży bibliofilskiej”.

Warto wspomnieć jeszcze o przyjaźni prof. Pieszki ze St. Młodożeńcem, choć ten, jak wiadomo, rok tylko (1924/25) przebywał w Zamościu, oraz o bliskiej zażyłości z Bolesławem Leśmianem, z którym wiele godzin „przegadał” w altanie zamojskiego ZOO.

Z bibliofilskich prac Pieszki wymienić trzeba współudział w organizowaniu wystaw, wygłaszanie odczytów, sekretarowanie Zjazdowi Naukowemu im. Sz. Szymonowicza w 1929 r., a wreszcie współpracę z Teklą Zamojską, w której jest kilka przyczynków do historii Zamościa jego autorstwa. Bibliofilskie zainteresowania oraz łatwość publicznego przemawiania oddzielił Profesor po swoim ojcu, który choć prosty robotnik, w miarę możliwości gromadził książki i często zabierał głos na zebraniach robotniczych.

Profesor Pieszko osamotniony po stracie Małżonki nosi się z zamiarem przeniesienia się (po przejściu na emeryturę) pod Warszawę do rodziny; byłaby wielka szkoda, zresztą kto wie, może zamościanie Go nie puszczą?

PONIDZIE

LITERACKA
GRUPA MŁODYCH
ZIEMI KIELECKIEJ

ADA KOPCIŃSKA

Na ponowne trzęsienie ziemi w Jugosławii

Pół ten biały
delikatny w brzegach — sieci
[suszyły się długo
w poranku
dziewczyzna dłonią rozhuśtawszy
warkocz
biegła wzdłuż pali kradnąc ptakom
[cienie
dotąd aż drogę przecięła starucha.

— Miejsca swojego ustępuje tempo
w deszczu najwdzięczniejszą mogła
[czesać włosy
— zostawia bioder odcisnięty zarys
w pękniętej cegle — postój każe
[ptakom.

— Biegnie znów mała
— jak cię nazywają
z czterech stron pada ściszone
[pytanie

— a dziecko z rybą co śnięta
grudniowa
nucl i trąca dla zabawy dzwony:

— Tak cię kochałam listeczku
na wodzie
gdy wiatr kręgamy śmiesznie
wołał do mnie
tak cię kochałam — brzęczałeś
[jak pszczołka

sympię szkiełkami na
chodnik ulicy.

— Rzeko z ołowiu wzbierasz
zgnarłysz zazdrośnie i ukrywasz
w głębi
twój chichot trzewia szarpie
i rozrzuca
fala twa sucha
z pyłu
nawet miękka jak skrzydła
ptaków cięte tuż przy skórze

— lepiej niech piasek
i niech zwykle burze
niech deszcz
z szepcaniem co wciąż znaczy
drogę:
— tak cię kochałam listeczku
[na wodzie...

MARIAN BARAN

Mój świat

Jedni mogą w zawile
parafrazy się bawić
i wytrącać muzykę spod pióra
Ja — wybaczcie, nie mogę
bo zbyt proste jest życie
kiedy razem roztańczę się z wiatrem
Kiedy z cieniem badyli
pobokuję się słońce
aby kwiaty roztańczyć
roześmiane po pas
Wówczas prostym skinieniem
biorę uśmiech garściami
i na stół wam przynoszę
w prezencie.

STANISŁAW GLEŃ

Rusztowania

Lubisz patrzeć na stalowe
[rusztowania
Czekasz aż zakwitną kolorowymi
[tynkami

Tłumisz chęć wędrowki
do marzeń
zaczajonych w stalowych prętach
Nieśmiało składasz ręce
na pachnącym tynku
i mieszasz ciepło wieczoru
z odrobiną miłości
Jutro znów przyjdiesz
z dziewczęcym uśmiechem
Zagubiona w labiryncie rusztowań
będziesz szukać
naszych rąk.

ANDRZEJ ZATORSKI

Wspomnienie

Do tego przystanku wracam —
gdzie żaden pojazd nie dociera
a wolne drogi są tylko w patrzeniu,
gdzie milczy trąbka
poczytłona.

Do tego przystanku wracam —
a wiatr za oknem szepcze ciębie
zamkniętą w sen niespokojny
nim stałaś się zapomnieniem.

Nie zainteresowały się sprawą prezydium PPRN. Domy kultury, zobowiązane przecież statutowo do niesienia pomocy, dowiedziały się o powołaniu ośrodków parę miesięcy po ich powstaniu. Daleki jestem od obciążania winą resortu oświaty. Problem jednak istnieje. Ośrodki trzeba doposażyć. Niekoniecznie z budżetu PPRN. Świadczyć muszą wszystkie organizacje i instytucje działające na terenie powiatu. Tylko ktoś musi się tym zająć. Ktoś z autorytetem i sankcjami. Jak tu pominąć Prezydium Powiatowej Rady Narodowej? Trzeba ośrodki rozsądnie typować. Nierzadko zdarza się, że w miejscowości, gdzie istnieje świetlica, powołuje się jeszcze ośrodek zamiast wzmocnić ją kadrą nauczycielską. Tak samo nie da się pominąć dokształcania kierowników oraz otoczenia ich bieżącym instruktażem przez PDK. Dotychczasowe doświadczenie uczy, że ośrodki bez podstawowego wyposażenia i pomocy merytorycznej powoli zamierają nawet po ambitnym starcie. Od samego mieszania herbata nie staje się słodsza.

Po stworzeniu warunków nauczyciele dadzą swój wkład pracy. Dowiodł tego powiat lubartowski, gdzie w roku oświatowym 1962/1963 nauczyciele włożyli pracę społeczną w postaci zajęć w ośrodkach na sumę około pół miliona złotych, jedną godzinę wyceniono na 25 złotych.

W zakresie dokształcania coś niecoś już się robi w 14 powiatach. Prowadzą je wspólnie PDK i ZMW w oparciu o pomoc programową i organizacyjną Wojewódzkiego Domu Kultury oraz wydziałów oświaty i kultury PPRN. Niestety, jeżeli chodzi o doposażenie

HENRYK JACHIMOWSKI

zło rzeki

w tobie zamieszkałam czy jak w Jaskini
czy w pałacu

jest w tobie zimno muru
czy ciepło owocu

jest w tobie nieufność zwierzęcia
czy miłość ptaka

jest w tobie łagodność muła
czy zło rzeki

wstęp do erotyki

taka jest rzeka nocą

taki jest liść na wietrze

taki jest ptak przed świtem

taka jest ryba na piasku

taka jest dziewczyna nad ranem

BOGDAN PASTERNAK

Nieufność

Mówisz kłamstwa
różowe jak dzień
[przedwiosenny
w które muszę wierzyć

Podajesz usta
gdy wąpścić zaczynam
w słowa i czyny codzienne

Światłem które trzymam
w zaciśniętych dłoniach
nie spałę myśli
bijących we mnie

ośrodków, dalej cicho. A stawka jest wysoka. Stawka o dobrą pracę pięciu-
set ośrodków. Kto zapełni powstałą
lukę?

Duże zainteresowanie i rozgłos w ostatnich miesiącach ubiegłego roku wzbudziły powołane do życia przez Przedsiębiorstwo Upowszechnienia Prasy i Książki „RUCH” wiejskie kluby Prasy i Książki. Na obszar działalności k.o. przybył nowy partner z bardzo interesującą i praktyczną inicjatywą. Przedsięwzięcie „RUCHU” ma ogromne znaczenie i z innej strony. Lubelszczyzna znajduje się na czwartym miejscu... nie ludźmy się — od końca, pod względem czytelnictwa prasy. Rzucenie na wieś większej ilości prasy powinno zmienić tę sytuację i otworzyć szersze okno na świat w wielu wsiach. Według porozumienia między „RUCHEM” a ZMW (dwaj główni partnerzy) Klub Prasy i Książki ma być w pełni wyposażoną nowoczesną placówką k.o. A więc ładne meble, telewizor, prasa, książki, inne artykuły „ruchowskie”, kawa, no i oczywiście działalność kulturalno-oświatowa. W ostatnich miesiącach ubiegłego roku powstało na terenie województwa 45 klubów, do końca br. będzie ich 200. W wyposażenie klubów „RUCH” zamierza zainwestować 3 miliony złotych. Nie było dotąd w dziedzinie organizacji działalności k.o. tak potężnego i dynamicznego partnera.

Za wcześnie jeszcze na jakiegokolwiek uogólnienia, kluby pracują zaledwie parę miesięcy. Warto jednak poczynić pewne uwagi co do samej organizacji klubów. Nie dało się uniknąć „nakładania się” placówek na siebie. W niektórych miejscowościach „RUCH” wszedł do placówek już pracujących. Taka sytuacja istnieje w Trzcincu, Ratoszynie, Jastkowie, Palikijach i Janowcu. W wypadku dwu ostatnich miejscowości (Palikije — biblioteka gromadzka, Janowiec — dobrze pracująca świetlica, „małżeństwo” wyszło wybitnie nie na korzyść działalności k.o. Jesteśmy za biedni, by lokować zbyt dużo w jednej miejscowości, gdy w innych pozostaje niczym nie zapełniona pustka.

I drugi problem — tutaj sprawa komplikuje się bardziej — kluby są zazwyczaj niedoposażone w sprzęt. Główna przyczyna — brak na rynku ładnych mebli, nie dopisuje przemysł lub zaopatrzenie. I tak do świetlic sprowadza się ładne stoisko z prasą, książkami i kawą, pozostałe meble stare i obskurne (patrz Ratoszyn, Wólka Lubelska). Niestety, tak jest w większości otwartych klubów. Rynek chyba nie zmieni się, z drugiej strony takie wyposażenie

klubów nie może być akceptowane w swojej masie. Przecież to mają być placówki nowoczesnie wyposażone i w pełni. Czy nie należałoby tu zamówić mebli w jakiejś spółdzielni czy fabryce?

I trzeci problem. Kluby mają upowszechniać prasę i książki. Bezprzeczenie to ich zadania naczelne. Przez usługi — sprzedaż, ale i działalność k.o. Więc sprawa profilu czasopism i książek jest zagadnieniem podstawowym. Tutaj Łózki dyktują rozwiązanie. Wśród pozycji książkowych znajduje się tam około 20 tytułów z zakresu rolnictwa. Na razie jest to wypadek odosobniony. A szkoda, bo w klubie w Łózkach książki rolnicze są chętnie kupowane. Również dotąd do żadnego klubu nie zaprenumerowano fachowych czasopism k.o., jak „Kultura i Ty”, „Featr Ludowy”, czy „Praca świetlicowa”. Nie ma też w czytelnictwie podręcznych biblioteczek encyklopedycznych.

Oczywiście usterki te nie zaciemniają pozytywów. O tyle warto o nich mówić, że przy organizacji dalszych klubów można będzie ich unikać. Zawsze najtrudniejsze są początki, gdyż nie dysponuje się jeszcze bagażem doświadczeń. Wreszcie modelowy typ placówki — gromadzkie ośrodki kompleksowe. Powoływanie ich zainicjował Wydział Kultury PWRN. Koncepcją zakłada, że we wspólnym budynku współdziałają pod jednym kierownictwem, biblioteka gromadzka, kino, czytelnia i dotąd tradycyjnie określana świetlica.

Założenia wymagają tutaj jeszcze dopracowania. Tu przykład choćby z Wojsławic. Otwarły tam ośrodek kompleksowy. Tylko w praktyce biblioteka posiada swój plan, kino swój, kierownik klubu prasy i książki swój, wreszcie kierownik świetlicy (za takiego się uważa), który powinien wszystko koordynować — jeszcze jeden plan, niestety, tylko prac przez siebie prowadzonych. Współpartnerzy ani razu się nie spotkali wspólnie, nie mówiąc już o jednolitym planie dla całego ośrodka i wzajemnym współdziałaniu w organizacji poszczególnych imprez. Bowiem każdy z kierowników rozlicza się z pracy u innego zwierzchnika. Ten problem czeka również rozwiązania przez resort kultury.

Z przytoczonych wyżej rozważań wynika pewien model organizacyjny rozwoju kultury. A więc siedziba GRN — tam gdzie są warunki — ośrodki kompleksowe, w pozostałych miejscowościach — ośrodki przyszkolne, kluby prasy i książki oraz kluby kawiarnie. Wyżej wspomniane typy placówek pochłaniają tradycyjną w dotychczasowym pojęciu świetlicę. W dużej mierze odnosi się to do świetlic PGR. Taka jest tendencja rozwojowa placówek w praktyce.

Wiadomo powszechnie, że nie struktura organizacyjna, ani nawet wyposażenie decyduje o wynikach pracy placówki, ale człowiek i upowszechniane treści.

Pomoc w zakresie metod i treści pracy powinny nieść placówkom podstawowym powiatowe domy kultury. Takie są założenia. Tymczasem wiadomo, że PDK nie będą mogły zapewnić skutecznej pomocy wszystkim placówkom podstawowym. Gwałtowny wzrost placówek następował bez jednoczesnego rozszerzenia zaplecza materialnego i kadrowego PDK. Poza tym tradycyjnie PDK w 70 proc. pod względem budżetu i kadry zaangażowane są w działalność środowiskową. Często jeszcze, niestety, władze powiatowe na tej podstawie oceniają pracę PDK. Według wskaźników centralnych, w poradni powiatowej powinno być zatrudnionych etatowo do 5 pracowników. Nie jesteśmy tak zamożni, przeciętna u nas to jeden pracownik, czasem dwu. Wiadomo z góry, że jeden pracownik poradni w Kraśnymstawie nie zapewni skutecznej pomocy przeszło 120 placówkom istniejącym na terenie powiatu.

W tej dziedzinie konieczne są szybkie decyzje. Po pierwsze — każdy PDK, by mógł rzeczywiście dotrzeć wszędzie — musi być wyposażony w mikrobus „NYSA”. Województwo opolskie stać było na to. A u nas? Niektóre powiaty mają nawet pieniądze. Niestety, zdobywanie talonów jest trudnością nie do przezwyciężenia. Pieniądzy z rad nie starczy, w województwie jednak są. Problem otwarty. Po drugie — PDK główne prace muszą skierować na teren. Stawka jest zbyt wielka, by czekać.

Województwo lubelskie jest wysoko oceniane przez władze centralne. Ocenę tę potwierdzają działacze z innych województw przyjeżdżający do nas w celach wymiany doświadczeń. To dobre imię nie powinno nam jednak przesłaniać trzeźwego spojrzenia i potrzeby korekt, by mądrze wykorzystać wszystkie środki i możliwości, jakie mamy do dyspozycji.

Stanisław Weremczuk

NADZIEJE

i

TROSKI

(Dokończenie ze str. 1)

dotychczas tu i ówdzie napotykanie w powiatach, rozumiałe zresztą, gdyż w związku z reformą szkolnictwa i tak ma sporo kłopotów własnych.

Szkoły otworzyły na oścież drzwi dla dorosłych w całym województwie. Nieśmiało jednak resort oświaty potraktował przyszkolne ośrodki k.o. jako sprawę wewnętrzną. To ambitne, jednak ciężar nie do udźwignięcia jak na jedne barki.

Powodzenie akcji szkół w powiecie lubartowskim polegało w dużej mierze na tym, że ją gruntownie przygotowano. Indywidualnie wytypowano szkoły i kierowników ośrodków, powiat wygospodarował na doposażenie ośrodków około pół miliona złotych, ponadto zabezpieczono część funduszy w GRN, przeszkolono kierowników ośrodków, powołano do życia Powiatowy Dom Kultury, by zapewnić ośrodkom bieżącą pomoc instruktażową, skoordynowano wszystkie siły w powiecie, zabezpieczono pomoc TWP.

Ten właśnie etap przygotowawczy w większości powiatów został pominięty.

„REWOLUCJA KAPITALISTYCZNA“

(Dokończenie ze str. 4)

zuje cały swój majątek fundacji, a następnie wydzierżawia go od fundacji i dla celów przedsiębiorstwa. Z drugiej strony, sama fundacja ulega nieraz pokusie prowadzenia przedsiębiorstwa dla powiększenia swoich dochodów, upodabniając się w ten sposób do korporacji, a nie tracąc swego dobroczynnego charakteru. Pomysłowość w tym względzie korporacji i ich dradców prawnych jest imponująca.

Trzeba być sprawiedliwym. Nie tylko względy podatkowe są pobudką działania większych korporacji w zakresie tworzenia fundacji. Te organizacje odgrywają poważną rolę w rozwoju kultury kraju. Wykazują prawdziwe osiągnięcia, szczególnie w dziedzinie wyższego wykształcenia i medycyny. I tak fundacja Rockefellera i różne instytucje Carnegiego nigdy nie były związane z działalnością przemysłową i celami przemysłowymi. Fundacja Forda wzoruje się na swoich wielkich poprzednikach. Można powiedzieć, że fundacje w swojej większości służą poważnie celom, dla których zostały ustanowione — jakkolwiek niektóre mniejsze, zwłaszcza w ostatnich latach, zajmują się więcej propagandą polityczną. Najlepszym dowodem idealizmu większości fundacji jest fakt, że w okresie nagonki na postępową działalność, w dobie skwapliwego badania „amerykańskiego sposobu życia” wiele fundacji stało się przedmiotem zarzutów i oskarżeń o działalność wyrotową, „internacjonalizm” itp. (W. Friedmann: *Law in a Changing Society*, London 1959).

Powstała wątpliwość, czy korporacje przemysłowe są uprawnione do świadczeń dobroczynnych, czy tego rodzaju działalność nie kłóci się z celem korporacji, czy więc nie zachodzi w tym wypadku naruszenie prawa (*common law*). Sędzia Stein z *Superior Court* w New Jersey wypowiedział się jak najbardziej pozytywnie o legalności dobroczynnej działalności korporacji: „Jestem najgłębiej przekonany i uważam na rzecz oczywistą, że utrzymanie przy życiu popieranych prywatnie amerykańskich uniwersytetów i college'ów zależy od bogactwa korporacji i gotowości niesienia pewnej pomocy instytucjom, które mają doniosłe znaczenie dla dobrobytu społecznego i przeto są konieczne dla dobrobytu korporacji. Wszystko, co

służy interesowi ogólnemu, sprzyja dobru korporacji”. Obecnie 38 stanów uznało w drodze ustawowej, że korporacje utworzone zgodnie z prawodawstwem obowiązującym w danym stanie mają prawo do działalności dobroczynnej. (Charlton Ogburn: *Economic Plan and Action. Recent American Developments*, New York 1959).

3.

USA znają również „korporacje rządowe” (*governmental corporations*). Są to przedsiębiorstwa państwowe prowadzone na modłę przedsiębiorstwa prywatnych. Kiedyś (1933 r.) Franklin D. Roosevelt scharakteryzował korporację rządową jako organizację „wyposażoną we władzę rządową, a posiadającą giętkość i rzutkość przedsiębiorstwa prywatnego”. Ta charakterystyka idealizująca przedsiębiorstwo prywatne jest wyrazem traktowania przedsiębiorczości państwowej jako fenomenu społecznego wyjątkowego — pewnej niewesołej konieczności politycznej, uzasadnionej tylko wyjątkowością sytuacji na danym odcinku gospodarki narodowej. Według panującej w USA opinii utworzenie przedsiębiorstwa państwowego może być usprawiedliwione tylko tym, że interes państwowy wymaga wykonania pewnych zadań gospodarczych, a prywatna inicjatywa nie zdradza chęci ich podjęcia. Tak z inicjatywy prezydenta Roosevelta utworzono ustawowo w 1933 r. *Tennessee Valley Authority* (przytoczona wyżej charakterystyka korporacji rządowej znalazła się właśnie w orędziu Roosevelta do Kongresu w sprawie utworzenia TVA). Jest to wielka organizacja w skali Federacji, „rządowa korporacja”, owoc rooseveltońskiego Nowego Ładu (*New Deal*), dla wykorzystania siły wodnej w dolinie rzeki Tennessee na obszarze siedmiu stanów, budowy na tym obszarze zapór wodnych, elektrowni wodnych, przeprowadzenia zalesienia i melioracji gruntów.

Mimo niewątpliwego powodzenia TVA i może właśnie wskutek powodzenia tej instytucji o planowej gospodarce, panuje w USA po dzień dzisiejszy głęboka niechęć czynników miarodajnych — przede wszystkim Kongresu — do przedsiębiorczości państwowej. Hamuje to ostro jej rozwój (mimo to w stanie New York jest więcej niż 100 „korporacji rządowych”). Dzieje się to w czasie, gdy w Wielkiej Brytanii, krajach Wspólnoty Brytyjskiej, Francji, Włoszech i NRF oraz w wielu innych krajach niesocjalistycznych przedsiębiorczość państwowa zyskuje szczególne znaczenie w rozwoju gospodarczym i dużą popularność.

Emanuel Iserzon

NIEZNANE LISTY Stefana i Oktawii Żeromskich

(Dokończenie ze str. 5)

Umowę tę, na blankiecie firmowym z nadrukiem „S. A. Krzyżanowski w Krakowie — Księgarnia Nakładowa, Komisowa i Sortymentowa — Skład i Wypożyczalnia Nut (...)” spisał przedstawiciel wydawnictwa — pisarz ją tylko podpisał.

Następne listy Żeromskich do Mariana Krzyżanowskiego dotyczą już szczegółów edytorskich wydawanych tomów, a także projektu wydania tomu nowel „Rozdziobą nas kruki, wrony”:

Zakopane d 15 IV 1913

Szanowny Panie!
Z całą gotowością zgadzam się na rozpoczęcie druku nowel „Rozdziobą nas kruki i wrony”, — jednakże prosilibym Szanownego Pana o dokładną i zupełnie pewną wiadomość, czy poprzedni nakład jest wyczerpany, a przynajmniej na wyczerpaniu.

Uważalbym wszakże, że nie należy wcale wydawać wydania ozdobnego i ilustrowanego, jak poprzednie, lecz zwykłe w tym rodzaju, o jakich mówiliśmy.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku i stuga powolny

S. Żeromski

Szanowny Panie!

Dziękuję Szanownemu Panu za wiadomość co do „Rozdziobą nas kruki, wrony”. Oczywiście, że najlepszy będzie format taki sam, jak Sulkowskiego i „Róży”. Co do ilości egzemplarzy, to muszę decyzję zostawić Szanownemu Panu, równie jak co do ceny, gdyż nie mogę się zorientować, jakie mogą być koszty wydań. Byłoby pożądanym, żeby ta książka ze względu na rocznie powstania wyszła jak najprędzej. Jeszcze by ją kupowano.

Łączę wyrazy szacunku i pozdrowienia

stuga powolny

S. Żeromski

P.S. Do Ameryki —

z tymi krukami!

Zakopane

d. 19 IV. 1913

d. 12.V. 1913

Szanowny Panie!

Mąż mój polecił odesłać rysunek i zawiadomić, że się zgadza. Anioł bardzo nam się podoba, okładka mniej (!). Prosimy o pośpiech w druku. 20 Czerwca jedziemy nad morze, chciałby Stefan zobaczyć odbitki i druk. Co do „Dziejów Grzechu” mają pozwolenie na 4te wydanie „Pomocnicy” zapytałam ich czy będą drukowali — jeżeli nie — zaraz Pana zawiadomimy i Jemu prawo oddamy. Serdeczne pozdrowienia O. Żeromska

Florence 12 V 1913

Piazza d'Azeglio, 3 (Firenze)

Szanowny Panie!

Przebywam teraz od pewnego czasu we Florencji i jakiś czas tutaj zostanę. Zgadzam się chętnie na jak najszybsze rozpoczęcie druku zbioru „Rozdziobą nas kruki, wrony”. Okładkę do „Róży” już Szanowny Pan zapewne z powrotem otrzymał. Bardzo mi się podobała (!). Ceny zapewne powinny być niższe, to już Szanowny Pan wykalkuluje.

* Autografy cytowanych listów, umowy wydawniczej znajdują się w zbiorach PAN Kraków rkps 3249. Modernizując tu ortografię, interpunkcję zachowano bez zmian, stąd jedne tytuły opatrzone znakiem cudzysłowu, inne nie.
* Podejrliwość Żeromskiego miała swoje racje — por. Jan Lorentowicz — „Spojrzenie wstecz”, Kraków 1957.

Sztuk Współczesnych i do Katowic na Festiwal Sztuk Rosyjskich i Radzieckich. Ponieważ w tym roku oba te festiwale odbędą się w jesieni, trudno jest w tej chwili ustalić repertuar. Bo musi pan wiedzieć, że wprowadzone obecnie planowanie do końca roku kalendarzowego sprawia dużo kłopotów i zamieszania. Wymiana zespołu aktorskiego nastąpi przecież tak jak dotychczas, we wrześniu. Powodem — początek roku szkolnego i niewygody związane z przeprowadzką w zimie. A jak można planować repertuar, skoro nie wiadomo, jakimi silami aktorskimi będzie się dysponować?

— Istotnie, to chyba nie był zbyt szczęśliwy pomysł. Ale jedynym rozwiązaniem, jak już o tym wspomniano, „Kamena”, byłaby reforma kalendarza w celu ujednolicenia roku bu-

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku,

z jakim pozostaje

S. Żeromski

„Róża” w wydaniu księgarni S.A. Krzyżanowskiego ukazała się drukiem jeszcze w tym samym roku. „Sulkowski” i „Rozdziobą nas kruki, wrony” — w następnym.

Krystyna Jabłońska

ZNALAZŁO SIĘ MIEJSCE DLA GALERII

DONOSILEM niedawno w „Kamieniu” (Nr 23-24 ub. r.) o staraniach rzeszowskiego środowiska plastycznego, Wydziału Kultury Prezydium WRN oraz Biura Wystaw Artystycznych w Rzeszowie, zmierzających do zorganizowania galerii malarstwa wspólnego. Zamierzeniem organizatorów jest, by w galerii tej znalazły się najlepsze prace artystów rzeszowskich zarówno żyjących, jak i tych, którzy na tym terenie kiedyś tworzyli, tu mieszkali, utrzymywali kontakty z tym regionem. Galeria ta miała być rezultatem zobowiązania podjętego przez artystów w XX-lecie PRL, przekazania na ten cel przynajmniej dwu swoich prac. Do galerii miały wejść prace zakupione przez BWA z wystaw indywidualnych i zbiorowych, oraz przekazane w depozyt przez instytucje lub osoby prywatne.

Zarówno organizatorzy, jak i piszący te słowa, przewidywali trudności, jakie mogą wyłonić się w związku z organizacją galerii. Jednym z warunków postawionych przez ofiarodawców tych prac było to, by ekspozycja nie w całości zestawu, a nie rozrzucona do kilku lokalów w różnych punktach miasta. Przy ogólnie znanych trudnościach lokalowych w Rzeszowie i innych miastach mogło to być bardzo trudną przeszkodą do pokonania. Tymczasem sytuacja rozwinęła się pomyślniej, niż mogliśmy przypuszczać. Znalazł się opiekun i sojusznik tej inicjatywy. Jest nim Muzeum w Łańcucie. W wyniku muzycznego porozumienia między dyrekcją Muzeum, Zarządem Oddziału Związku Polskich Artystów Plastyków, dyrekcją BWA Galeria Sztuki Współczesnej znalazła pomieszczenie w salach muzealnych.

Nie tylko pomieszczenie. Ogromnie ważną rzeczą jest, by prace te już od samego początku były właściwie opracowane, skatalogowane, by włączono je w tok ogólnego zwiedzania muzeum. I ten problem został też pomyślnie rozstrzygnięty. Naukowym opracowaniem galerii zajmie się mgr Teresa Zurawska, pracownik naukowy muzeum, która kontynuować będzie też pracę w miarę powiększania się ekspozycji.

Pierwsze siedemnaście prac do galerii zakupił niedawno Wydział Kultury Prezydium WRN w Rzeszowie, część zakupionych dawnej obrazów rzeszowskich malarzy wypożyczyła Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Rzeszowie, część przekazała do galerii na własność i w depozyt plastycy.

— Kiedy możemy się spodziewać udośćpienia tych obrazów zwiedzającym? — z tym pytaniem zwróciłem się do kustosa Muzeum w Łańcucie mgr Jerzego Zurawskiego.

— Jeśli wszystko pójdzie dobrze, jeśli w ciągu najbliższych tygodni zbierzemy propozycje przez nas liczące około 50 prac, wówczas otwarcie galerii nastąpi w dniu 1 maja bieżącego roku. Wraz otwarciem chcielibyśmy wydać katalog tych prac.

Dla galerii przeznaczamy dwie sale na drugim piętrze. W miarę jej powiększania będziemy ten dział poszerzać o nowe pomieszczenia. Przy całej wielkości łañcuckiego zamku będziemy mieć z tym pewne kłopoty, sądzę jednak, że skoro tyle spraw rozstrzygnięliśmy pomyślnie i tę przeszkodę jakoś usuniemy.

Ekspozycja ta włączona zostanie w program zwiedzania zamku i stad istnieje konieczność wcześniejszego jej opracowania. Wśród tysięcy turystów zwiedzających zamek spotykamy się z ludźmi szczególnie interesującymi się sztuką. Myślę, że galeria malarstwa to szczęśliwa koncepcja zaspokojenia tego typu zainteresowań.

A. Jakubowicz

dżetowego z rokiem szkolnym, sezonami pracy itd. Ale to sprawa dalekiej przyszłości. Jeszcze na zakończenie: jakie przewiduje Pan gościnne występy reżyserów i aktorów w Białymstoku?

J. Z.: W tym względzie wolałbym również się nie wypowiadać, bo jak dotychczas żadna z przewidywanych wizyt nie doszła do skutku. Sprawa jest o tyle trudna, że wymaga bardzo ścisłej współpracy różnych placówek: teatrów, filmu, telewizji. A z tym jak wiadomo, nie jest najlepiej.

— Pozostaje nam zatem oczekiwać jakiejś milej niespodzianki, no i życzyć teatrowi w przeddzień jego jubileuszu zawsze pełnej widowni i kasy.

Z dyr. Jerzym Zagalskim rozmawiał
Aleksander Gabrusiewicz

RADOŚCI I KŁOPOTY TEATRALNE

Na temat aktualności Teatru im. Al. Węgierki rozmawiamy z jego dyrektorem — Jerzym Zagalskim.

— Panie dyrektorze, może na wstępie parę słów o bieżącym repertuarze i najbliższych planach na przyszłość...

Dyr. J. Zagalski: Zaczniemy od repertuaru młodzieżowego. Po bajce W. Thackeraya „Pierścień i róża”, przygotowujemy obecnie sztukę według znanej powieści Mongomery pt. „Ania z Zielonego Wzgórza”. Mamy nadzieję, że podobnie jak „Pierścień” i ta sztuka będzie się cieszyła dużym powodzeniem wśród młodzieży.

— Z pewnością, jeśli premiera będzie tak samo starannie przygotowana. Wydaje się, że również sztuki klasyczne, o których Pan wspominał, a więc „Miarka za miarkę”, „Kordian” czy też nie ustalona jeszcze komedia Fredry, adresowane są głównie do młodzieży.

J. Z.: W dużej mierze na pewno, ale w tym wypadku trudno mówić o głównym odbiorcy. Klasykę np. bardzo chętnie ogląda widz spoza Białegostoku.

— A jak przedstawia się zestaw sztuk współczesnych?

J. Z.: O, tych w repertuarze bieżącego sezonu nagromadziło się sporo. Mamy więc w planie „Pokuse” Gawlika, „Garść piasku” Przeździeckiego, „Przerwę w podróży” Karpowicza i wreszcie na święto 22 Lipca „Balladę polską” Drozdowskiego.

— Jak wiadomo, w jesieni 1944 roku Teatr białostocki rozpoczął swoją

działalność, będzie to więc 20 rocznica pracy teatru...

J. Z.: Oczywiście nie zapomnieliśmy o niej. Chcielibyśmy, o ile pozwoli na to warunki, z okazji także Roku Żeromskiego uświetnić nasz jubileusz sztuką „Uciełka mi przepióreczka”, ponieważ tym właśnie utworem ówczesny Teatr Miejski w Białymstoku zaraz po wywołaniu zainaugurował swoją działalność, byłaby więc to jakaś klamra. Ponadto mamy nadzieję, że w naszej uroczystości wezmą udział krytycy teatralni zrzeszeni w Klubie Krytyki SDP.

— Czy w tym sezonie przewiduje się jakieś gościnne występy innych teatrów?

J. Z.: Tak. Na wiosnę przyjedzie do nas Teatr Narodowy i Teatr im. Jara-cza z Olsztyna. Spodziewamy się również wizyty teatru lubelskiego.

— Czy to pociągnie za sobą również rewizyty?

J. Z.: Na razie mamy tylko zaplanowany wyjazd do Olsztyna z „Kordianem”.

— A jak przedstawia się udział naszego teatru w tym roku w festiwalach teatralnych?

J. Z.: Pewny jest jak dotąd udział w Festiwalu Teatrów Polski Północnej w Toruniu. Pojedziemy tam zapewne z Szekspirem i którąś z polskich sztuk współczesnych...

— Z którą?

J. Z.: To zależy od tego, która okaże się najlepsza, no i nie grana przez inne teatry uczestniczące w Festiwalu. Chcemy również pojechać do Wrocławia na Festiwal Polskich

Skąd się biorą sadyści

W stulecie powstania Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami w Polsce

MIECZYŚLAW CZAJKOWSKI

Motto:

Człowiek, który potrafi być okrutny dla bezbronnych zwierząt, może być okrutny i dla ludzi.

Leopold Infeld

NIE tak dawno oglądaliśmy na kronice filmowej niezwykłego psa, o którym wzmiankowała uprzednio prasa całego świata, a to dlatego, że od szeregu lat czuwa codziennie nad grobem swego dawnego opiekuna.

Obejrzenie tego epizodu utrwalonego na taśmie filmowej było powodem do dyskusji na temat przywiązania zwierząt do człowieka. Niektórzy czynili to na gorąco zaraz po wyjściu z kina, jak na przykład mój przygodny znajomy. Opowiadał mi, że w czasie okupacji niemieckiej we wsiach nieopodal Trebinki — miejsca masowych mordów Żydów — można było znaleźć kwilące niemowlę w... psiej budzie. W ten sposób idące na śmierć matki powierzały zwierzętom swe małeństwa w obronie przed „nadludźmi”. „Kiedy wspominał to — mówił z oburzeniem — epitet „zwierzęta”, jakim obdarzamy tych potworów, brzmi co najmniej dziwnie, jeśli nie wprost dla nich zaszczytnie. A jednak człowiek na ogół nie przejmując się losem zwierząt. Często w sposób beznamiętny traktuje zwierzęta jako przedmioty martwe, jak rzeczy, z którymi może dowolnie poczynać, dręcząc je niekiedy w sposób mniej lub bardziej wyrafinowany.

Z protokołów spraw białostockiego oddziału Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami w PRL skierowanych do sądów i kolegów karno-administracyjnych w 1953 r. czytamy:

„Sprawę ob. K. F. skierowano do prokuratora za to, że w sposób okrutny znęcał się nad swoim psem, wieszając go, a następnie ucinając mu głowę...”

„Ob. K. Z. w obecności dzieci podciął nożem szczenięciu gardło...”

NIE TYLKO W BIBLIOTECE

(Dokończenie ze str. 2)

pracę wychowawczą. Studenci od pierwszego roku studiów nawiązują trwałe kontakty z Biblioteką, co umożliwia rozwijanie głębszych zainteresowań czytelniczych u przyszłych nauczycieli.

Stało się już dobrą tradycją, że Pedagogiczna Biblioteka Wojewódzka organizuje dla nauczycielstwa i społeczeństwa Rzeszowa wykłady wybitnych naukowców (między innymi K. Wyka, Cz. Zgorzelski). Obecnie stałą współpracę nawiązał z naszą placówką doc. dr Henryk Smarzyński, którego odczyty cieszą się w kręgach nauczycieli Rzeszowa wielką popularnością.

Doskonalenie kwalifikacji zawodowych pracowników Biblioteki idzie w parze z ich pracą oświatową w środowisku. Ścisła współpraca z Towarzystwem Szkół Świeckich, z TWP, kontakty ze szkołami umożliwiają rozwinięcie akcji odczytowej.

Aktualne potrzeby Pedagogicznej Biblioteki Wojewódzkiej są duże. Rośnie ranga kulturalna miasta, rozrasta się szkół i kadra nauczycielska. W związku z unowocześnieniem szkolnictwa powstają nowe formy pracy (gabinet metodyczny, mikrofilmy i inne środki audiowizualne). Warto by już dziś pomyśleć o większej czytelni, która w obecnej chwili jest zbyt ciasna, o pomieszczeniu na nowe gabinety, o rozszerzeniu magazynu książek, który przy skali obecnych zakupów stanie się wnet zbyt ciasny. Także pedagogiczne biblioteki powiatowe, które poszczycić się mogą niemałymi sukcesami pracując często w trudnych warunkach (Jarosław, Nisko) i pomoc ze strony kompetentnych czynników byłaby im bardzo potrzebna, stanowiąc bowiem zasadniczy warunek ich normalnej pracy, która nie ogranicza się tylko do murów Biblioteki.

Józef Nowakowski

koegzystencję i wzajemnie siebie potrzebujących... Przymoła mi się dowcipny wiersz Rodocia, przytoczony przez inżyniera Mateckiego w jego dziele: „Ochrona zwierząt w Polsce”. Odświeżam go w pamięci:

Idylla małaśka taka:

Wróbel polnyka robaka,
Wróbla kot dusi niecnota,
Pies chętnie zagryza kota,
Psa wilk z lubością pożera,
Wilka zadławia pantera,
Panterę lew rwie na ćwierci,
Lwa — człowiek, a sam po śmierci
Staje się tępym robaka...
Idylla małaśka taka.

Inżynier jakby odgadł me myśli, uśmiecha się smętnie... Pies z kotem baraszkują. Za oknem gruchają gołębie.

— Widzi pan — mówi po chwili p. Matecki — ludzie często nie rozumieją celu naszej działalności. Powiadają z przekąsem: „Opiekuje się raczej opuszczonymi dziećmi, tyle jest tego na karku państwa”. Naiwni! Nie widzą, że broniąc zwierząt przed okrucieństwami, chronimy właśnie dzieci przed najgorszym. Czy słyszał pan wypowiedzi wielkich autorytetów na ten temat?

Daje mi plik maszynopisów. Przerzucam kartkę po kartce. Przesuwają mi się przed oczami wybitne nazwiska: Leopold Infeld, Jarosław Iwaszkiewicz, Tadeusz Kotarbiński, Władysław Broniewski, Mieczysław Fejgin, Maria Dąbrowska, Leon Mantuffel, Antoni Słonimski, Marcin Kasprzak, Jan Brzechwa, Adam Grucha, Jerzy Hryniewiecki...

Zatrzymuję się nad jedną z wypowiedzi. Czytam:

„Należy podkreślić, że masowa, upowszechniona akcja opieki nad opuszczonymi psami — to zmniejszenie okrutnego chuligaństwa, to powstrzymywanie złych instynktów i nienawiści do człowieka” — prof. dr Edward Sztylbein (SGGW).

Inżynier podsuwa mi drugi cytał: „Nie potrzebuję dodawać — czytam — że ze wszystkimi postulatami Towarzystwa zgadzam się bez zastrzeżeń, a jego wytrwałą walkę z okrucieństwem wobec zwierząt uważam za walkę o godność, kulturę moralną i wyższą cywilizację naszego społeczeństwa” — Maria Dąbrowska.

Inżynier Matecki, jak gdyby dopiero teraz pewien, że jestem dostatecznie przekonany o słuszności sprawy, dla której poświęcił ogromną większość, bo prawie pięćdziesiąt lat, swego życia, zaczął opowiadać dzieje Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami w Polsce, i jego pożyteczną działalność na przestrzeni stu lat.

Oto niektóre fragmenty w reporterskim skrócie. Działalność Towarzystwa datuje się od roku 1864, kiedy to powstał w Warszawie krajowy oddział Petersburskiego Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami. Oddział warszawski, jak i reszta całe Towarzystwo, przechodziło różne koleje, to się rozwijało, to znów zamierało w zależności od warunków. W 1905 roku Towarzystwo usamodzielniało się tworząc Zarząd Główny oraz poszczególne oddziały w Płocku, Częstochowie, Radomiu. Nastąpił czas wspaniałego rozkwitu. Członkami Towarzystwa byli tacy ludzie, jak Bolesław Prus i Henryk Sienkiewicz, a w okresie późniejszym generał Mariusz Zaruski (w latach międzywojennych pełnił on funkcję prezesa Zarządu Głównego).

W 1927 roku Towarzystwo wniosło do Ministerstwa Rolnictwa projekt ustawy o ochronie zwierząt. Ustawa ta weszła w życie w 1928 roku i obowiązuje nadal (w najbliższym czasie wyjdzie nowa ustawa, dostosowana do potrzeb chwili obecnej).

Władze Polskiej Ludowej doceniają działalność Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami w PRL i — jak mówi inżynier Matecki — czynione są starania, by podnieść tę organizację do rangi instytucji o charakterze wyższej użyteczności publicznej. Obecnie działalność Towarzystwa, ze względu na szczupłe zasoby finansowe, opiera się głównie na pracy społecznych inspektorów, którzy ingerują w wypadkach jaskrawych naruszeń ustawy o ochronie zwierząt, powiadając o tym organa władzy a w przypadkach cięższych, często nieświadomych wykroczeń, pouczają społeczeństwo, jak należy obchodzić się ze zwierzętami. Ponadto Towarzystwo w miarę możliwości stara się organizować azyle — schroniska dla bezdomnych i kalekich zwierząt. Schroniska takie spełniają dużą rolę wychowawczą. Często odwiedzają je dzieci, dla których rodzice wykupują umiłowane przez nie zwierzątka. Oprócz tego w schroniskach dokonuje się humanitarnych

Opowieść o człowieku którego nie zabito

JANUSZ WERONICZAK

DO tego świata w butach wchodzić nie wolno. Do tego świata wchodzi — się jak w sen. Długo, męczący, o rzeczach, które były, nie były. Sen strasznych półprawd. Okropny, zamknięty. Lascałte ogni speranza. Nie uda się wam niczego stąd zabrać, jedynie okrucy. Okrucy nieoatonego człowieczeństwa.

MAM lat 35. Nie wiadomo jak się nazywa. Wolają na niego: Ratunku. Codzienne, gdy się budzi, zdejmuję palcami coś niewidocznego z twarzy, potem wyciera ją czymś da: rękawem, koldra. Biegnie do umywalni, roztrąca innych chorych i długą naciera wodą twarz i ręce. Czasami też budzi się w nocy. Zrzuca koldrę, odpycha od siebie, wywraca stół, byleby tylko dostać się do okna. Wybijają szybę. Krwawi ręce na ziemiach szkła i głęboko oddycha.

Kiedy odseparowano go od innych chorych i umieszczono w pokoju o szybie ochronionej siatką, bił pięściami w ściany, drzwi i wszystko po drodze. Potem krzyczał to jedno jedyne rozpaczliwe, trzeźwe słowo, które mu zostało: ratunku.

Ratunku. Innych słów nie pamięta. Nie odzywa się w ogóle. Robi co mu każą: je, pracuje w introligatorni, sprząta swój pokój. Pielęgniarki lubią go. Za jego spokój, pracowitość, siłę. Tylko kiedy zobaczy wodę, nie można go utrzymać. Wyrwa się. I natychmiast myje. Twarz i ręce. Gdy go pytają dlaczego? Po co to robi? Przecież nie można się bez przerwy myć — płacze. Twarz ma nieruchomą, tylko lzy przeciekają mu między palcami, którymi zdejmuję z twarzy coś nie istniejącego.

W 45 roku znalazł go na gruzach zwanego przez bombę budynku, z którego piwnicy sam się wygrzebał. Nie był ranny, tylko paznokcie miał połamane i ręce starte do kości o cegły i gruz. Kiedy go znaleźli, zdejmował z twarzy i włosów skrzepki cudzej krwi.

Zanim bomba trafiła w ten dom, w jego piwnicy siedziało 38 ludzi. Kiedy bomba trafiła w ten dom, przy życiu pozostał na jeden. Reszta, na miarę. Nikt się nie dowi, co przeżył, kiedy w piwnicy załamał się sufit i trzy piętra wprasowały się do malej zatłoczonej piwnicy. Nikt się nie dowi, jak długo i jak rozpaczliwie powtarzał swoje słowa „ratunku” ten jeden, jedyne człowiek, którego nie zabito. Jak przepychał się przez gruz, cegły, resztki swoich towarzyszy, żeby móc oddychać.

Nikt się nie dowi, ile razy od zakończenia wojny przeżywał to jeszcze i jeszcze na nowo. Dla niego wojna jeszcze się nie skończyła.

Mówią do niego: „Ratunku, pomóż zanieść kosz do pralni, Ratunku, po-trzymaj to. Ratunku”.

A poza tym jest człowiekiem zupełnie spokojnym.

uśpienie kalekich a nieuleczalnych zwierząt.

Jedną z donioślejszych spraw, którymi między innymi zajmuje się Towarzystwo, to sprawa humanitarnego uboju zwierząt rzeźnych. Często bowiem, zwłaszcza na wsi, dokonuje się prymitywnego uboju na oczach dzieci.

Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami w PRL w chwili obecnej liczy 9 tysięcy członków zrzeszonych w 63 oddziałach terenowych. O społecznej wadze działalności Towarzystwa świadczy fakt, że jedynie w 1963 roku skierowano 1034 sprawy do kolegów karno-administracyjnych oraz 79 spraw do prokuratur i bardzo wiele do sądów dla nieletnich.

Oto wyniki naszej działalności — mówi na zakończenie naszego spotkania, nie bez odcienia smutku, inżynier Matecki. Ale zaraz dodaje optymistycznie: W naszym społeczeństwie jest dużo ludzi wrażliwych na niedolę zwierząt. A to jest zaradliwe.

Nie zajmując więcej czasu spieszycemu się na jakieś ważne zebranie żegnam inżyniera Mateckiego i jego czworonożnych przyjaciół. Gdy wychodzę na podwórko starej kamienicy i mimo woli spoglądam w górę, dostrzegam na każdym balkonie karmniki dla ptaków. Jest ich kilkadziesiąt

TURYSTYKA — WIELKA RZECZ

(Dokończenie ze str. 7)

padnie powrócić innym razem. Na przykład do sprawy ochrony krajo-
brazu. Ta sprawa zaczyna być nie-
zmiernie aktualna nie tylko ze wzglę-
du na wyręby starodrzewu, którym
częściowo zdolano zapobiec, ale rów-
nież ze względu na rozbudowę obiekt-
ów turystycznych. Może się to wy-
dać paradoksem, ale właśnie sponta-
niczny rozwój wszelkich obozowisk
campingowych jest wielkim wrogiem
przyrody i krajoobrazu. Wystarczy
chyba pojechać do Augustowa i zo-
baczyć, co dzieje się w lesie nad brze-
gami jeziora Necko, żeby ten pro-
blem należało ocenić.

Na naradzie wysunięto też wnioski
o utworzenie nowych rezerwatów, m.
in. nad brzegami Sokołdy w Puszczy
Knyszyńskiej, gdzie już rozpoczyna
się wyręby pięknych, starych dębów.

Osobne miejsce poświęcono dotąd
nie rozwiązanym sprawie pamiątek i
upominków, która, miejmy nadzieję,
dojdzie do pomyślnego końca w
związku z ogłoszonym niedawno kon-
kursem na pamiątkarstwo regionalne.
Jednym z organizatorów tego kon-
kursu jest też Komisja Krajoznawcza
PTTK. Celem konkursu jest między
innymi dostarczenie turyście ładnej,
nie drogiej pamiątki z województwa
białostockiego, która by to wojewódz-
two symbolizowała i propagowała.

Jedną z kwestii budzących sporą
dozę goryczy działaczy krajoznaw-
czych naszego terenu jest kwestia,
która mimo znacznej drażliwości, my-
śle, warto poruszyć. Jest to mianowicie
sprawa publikowania informacji
i większych artykułów o regionie i
w prasie turystycznej. Jak wykazuje
praktyka, redakcje turystyczne nie-
zbyt chętnie drukują materiały na-
desłane z terenu, a często traktują

je jako informacje, gdzie można zna-
leźć coś interesującego, i wysyłają
tam swych redaktorów, którzy te sa-
me tematy potem wykorzystują w
swych artykułach. Weźmy pod uwagę
fakt że ci działacze terenowi znają
swoją teren bez wątpienia lepiej od
owych redaktorów, przybywających na
kilka dni do tej czy owej miejscow-
wości. A że i oni potrafią posługiwać
się piórem, najlepiej świadczy fakt,
iż często są autorami cennych prze-
wodników. Oczywiście nie bez znacze-
nia jest tu sprawa ambicji i satysfak-
cji. Sądzę, że należy o takich sprawa-
ch mówić. Wydaje mi się, że trzeba
by spowodować zrewidowanie poglą-
dów, że na prowincji brak ludzi
znających się na czymkolwiek. Taką
prowincję wytwarzają właśnie często
instytucje centralne monopolizujące
w swych rękach szereg spraw, któ-
rym dalyby radę siły fachowe pro-
wincji. Jest to problem także poza-
turystyczny.

Aktualnym zagadnieniem była sprawa
obchodów XX-lecia Polski Ludowej
i włączenia się krajoznawców do
tych obchodów. Jest tu wiele okazji
do spopularyzowania naszych osiągnięć
w dziedzinie budownictwa, kultury,
gospodarki oraz do przypomnienia sy-
tuacji, od której zaczęliśmy odbu-
dowę naszego kraju po zakończeniu
wojny.

Oto niektóre tylko problemy poru-
szane na naradzie Okręgowej Kom-
isji Krajoznawczej PTTK w Białym-
stoku. Wydaje mi się, że warto nimi
zainteresować nie tylko działaczy tu-
rystycznych i turystów, ale także
wszystkich, którym leży na sercu
piękno kraju oraz jego jak najwięk-
sza popularyzacja. Nie zapomnijmy
o tym, że turystyka to nie tylko wy-
poczynek, nie tylko ruch i wysiłek
mięśni, ale głównie umiejętność łą-
czenia spraw wypoczynku z pozna-
waniem własnej ojczyzny, ze wzboga-
caniem swej wiedzy o kraju i wyra-
bianiem sobie o nim własnego zda-
nia. Najlepiej jeśli to zdanie da się
wyrazić słowem „miłość”.

Zygmunt Ciesielski

KURPIOWSKIE WYCINANKI

ETNOGRAFOWIE skarżą się, że
postępująca coraz bardziej ur-
banizacja wsi, jej podbój przez
zdobycze techniki i cywilizacji niszczy
dosłownie z roku na rok tradycje
ludowego rękodzielnictwa i sztuki lu-
dowej. Istotnie, prakka elektryczna
zastępuje tradycyjną kijankę, ludowa
ceramika wypierana jest przez tanie
i dobre garnki emaliowane lub ka-
mionkowe. Za kilkanaście lat trudno
będzie chyba mówić o użytkowych
dziełach ludowej sztuki. Ale na prze-
kór urbanizacji i technicznym nowin-
kom sztuka ludowa przeżywa dni roz-
kwitu. Merkury, bóg handlu, kierując
się popytem objął mecenat nad ludo-
wymi wyrobami. Spółdzielnie prze-
mysłu ludowego i artystycznego
zwiększają co roku skup i produkcję.
Okazało się, że dzieła złotorekich lu-
dowych mistrzów pasują jak ułd do
nowoczesnych wnętrz. Owe dekora-
cyjne walory ludowej ceramiki spra-
wiły, że znów wzrosło zainteresowa-
nie tym rzemiosłem. Siadają za gar-
narskim kołem młodzi ludzie i uczą
się fachu. Tkaczki na nowo zasiadają
przy krosnach — oplaca się robić dy-
wany.

W województwie białostockim jest
kilka rejonów o bogatych tradycjach

ludowej sztuki. Jednym z nich jest
Kurpiowszczyzna. Od lat działa tu
spółdzielnia „Kurpianka”, zajmująca
się organizacją skupu i chałupniczej
produkcji artystycznego ludowego ręk-
odzieła. Wyroby te wędrują w Pol-
skę i prawie na cały świat. Kurpie
słyną z pięknych wyrobów z drzewa,
lnianych tkanin i wycinanek. Kur-
piowskie wycinanki odznaczają się nie-
zwyczajnym bogactwem form. Przyozda-
biano wycinankami sufity i belkowa-
nia domostw. Były to wycinanki na
białym papierze. Kontrastowały zna-
komicie z zadymionymi belkami. Dzi-
siaj wycina się na papierze koloro-
wym. Misterne wzory powstają szyb-
ko. Ręczność polega na umiejętności szyb-
kiej improwizacji i „czuciu w palcach”
jak mówią wycinankarki.

Wieś Tatary koło Kadzidla należy
do sławnych ognisk wycinankarstwa.
Stąd pochodzi sławna rodzina Konop-
ków — wycinankarek od wielu pokoleń,
w ich wprawnych rękach ze świstka
papieru rodzi się cudowno, którym za-
chwycić się będą znawcy ludowej
sztuki w kraju i daleko poza jego gra-
nicami.

Franciszek Lewicki

List do redakcji

Ob.
Maria Bechczyk-Rudnicka
Redaktor Naczelny
dwutygodnika literackiego
„Kamena”

Kierownictwo i zespół redakcyjny organu
Związku Młodzieży Wiejskiej „Zarzewie”
wraża serdeczne podziękowanie Pani
i Zespołowi redakcji „Kamena” za aktywne
i szczerze podjęcie na łamach Waszego
pisma spraw związanych z akcją upo-
wszechnienia piastyki na wsi. Redakcja
nasza cieszy się szczególnie ze zrozumie-
nia, na jakie napotkała nasza akcja w naj-
starszym piśmie literackim spośród obecnie
wychodzących i mającym tak bogaty do-
robiek dziennikarski i kulturotwórczy.
Akcja nasza, zaplanowana na kilka lat,
weszła obecnie w drugie stadium realiza-
cji, w konkretne poczynania instytucji
i organizacji działających na polu kultury
na wsi. Ostatnio odbyła się w Warszawie
narada przedstawicieli tych organizacji, w
której uczestniczył Wiceminister Kultury
i Sztuki, ob. Zygmunt Garstecki. Na na-
radzie przedstawiono szczegółowy plan
działania który spotkał się z uznaniem
Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz wszy-

stkich innych zainteresowanych przedsta-
wicieli. Ob. Minister Garstecki zadeklaro-
wał poza tym pełną pomoc i poparcie dla
akcji ZMW i „Zarzewia” ofiarując wszel-
kie środki, jakimi rozporządza resort, do
dyspozycji inicjatorów.

Składając jeszcze raz serdeczne podzię-
kowania, prosimy jednocześnie o dalsze
zainteresowanie akcją, w której rola „Ka-
meny” jest szczególnie ważna i cenna.

Redaktor Naczelny
Zygmunt Markowicz

NOWY ZARZĄD LUBELSKIEGO ODDZIAŁU ZLP

W lutym odbyło się Walne Zebranie
Lubelskiego Oddziału Związku Litera-
tów Polskich, na którym wybrano
nowy Zarząd Oddziału w następują-
cym składzie: Konrad Bielski — pre-
zes, Zygmunt Mikulski — wiceprezes,
Jerzy Księski — sekretarz, Wacław
Grzałewski — skarbnik i Maria Bech-
czyk-Rudnicka — członek Zarządu,
redaktor naczelny „Kamena”.

Godzina irracjonalna

PEWNEGO poniedziałku — mieszkańcy Radomia stwierdzili, że
w mieście zabrakło pieczywa. Gdy to samo powtórzyło się za
tydzień, a potem w śledem dni później, uznano, że w sprawnym
dotychczas mechanizmie zaopatrywania miasta zaszła niepokojąca zmia-
na. Natarczywie zainteresowani piekarze rozłożyli ręce: teraz tak już
będzie, bo obciążono nam godziny nadliczbowe.

A dyrekcja kilku podradomskich cegielni też ma kłopot. Na rozkaz
zjednoczenia godziny nadliczbowe ograniczono do 1/5 dawniej zużywa-
nych. Po obliczeniu wszystkiego okazało się, że nad pracującymi w ce-
gielni kołami zawisła groźba śmierci głodowej. Na niedzielne, drożej
płatne karmienie i inny obrządek, do którego potrzebny jest człowiek —
godzin nadliczbowych nie będzie.

Mamy wielu wybitnych ekonomistów. Niektórzy nawet doradzają
rządowi obcych krajów, jak rozwiązywać trudne problemy gospodarcze.
Wcale się nie dziwię, że wolą zajmować się kuracją ekonomiczną o tysią-
ce mil od własnej ojczyzny. Łatwiej wypędzić głód z Indii, niż uporać
się z godzinami nadliczbowymi w Polsce. Ponadto można sądzić, że nasi
ekonomiści odczuwają podświadomie coś w rodzaju niecierpliwego za-
żenowania. Rozwiązali problemy ekonometrii, wprowadzali do swojej
nauki cybernetykę, a tu pod boki wielkiej wiedzy wyrosła sobie nie-
sklasyfikowana, śmieszna i głupia kategoria w postaci godziny nadlicz-
bowej. Takie nie, że szkoda na to definić, a okazało się — kraj na tym
stoi. Włóż naukowcy cierpią, że przeoczyli i gniewa ich własna świadom-
ność, która wystrzyżyszy nuanse poznania na superwielkich sprawach
nie potrafi nagiąć się do przyziemności.

Tak zwana nadgodzina stanowi zjawisko irracjonalne. Bo jak wytłu-
maczyć takie fakty. W każdej fabryce miesięczny wykres rytmiczności
pracy wygląda zawsze jednakowo. Pierwsze dni to stan błogiego odprę-
żenia, połowa miesiąca — koła kręca się nieco szybciej, a w trzeciej
dekadzie we wszystkich wstępuje niezwykły duch pracy. Zagrożony plan
zostaje bohatercko wykonany, oczywiście kosztem nadgodzin.

Zainteresowani tłumaczą, że taki rytm narzucił dostawca surowców
albo półfabrykatów. Gdy o to samo zapytać dostawcę, ten wskazuje
z kolei innego kooperanta obciążając go identycznym zarzutem. I tak
tworzy się szpaler niewinnych, z których każdy wskazuje palcem na
sąsiada. Wszyscy jesteśmy sędziami — jak powiada Telewizja Polska,
co równie dobrze można zamienić na „wszyscy jesteśmy ofiarami do-
stawców”. W ten sposób winnego nie ma, natomiast są godziny nadlicz-
bowe i bohaterowie pracy. Najdziwniejsze, że jeśli zebrać wszystko
w kupkę, okazuje się, że plany są wykonywane, czyli: ilość dostaw odpo-
wiada potrzebom, natomiast terminy wykonania — szwankują. Proste?

System powstawania godzin nadliczbowych mocno się zakorzenił. Wal-
ka z nim — jak przystało na zjawisko irracjonalne — odbywa się przy
użyciu księżykowych metod. Wygląda to imponująco, ale jeśli
nadgodziny to u nas cały system, powstają spięcia w rodzaju braku
bulek w sklepach lub dylematu, kto nakarmi konia. I żeby tylko to.
Zważajwszy, że wszyscy jesteśmy dostawcami czegoś dla kogoś, powikła-
nia mogą być dużo gorsze.

A ekonomiści dyplomatycznie milczą. Progi nauki są za wysokie dla
godzin nadliczbowych. Może i racja, ale bulki, zdaje się, jadamy wszyscy.

Jędrzej

ZE STAREGO LUBLINA



KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE

Opracował z negatywu Józefa Czechowicza inż. Andrzej Polakowski



W ŚRÓD publikacji prasowych ostatniego czasu wyróżnia się umiejętnością trafnego wyboru problematyki artykułu Feliksa Starca z Tygodnika Kulturalnego. Skonfrontował on mianowicie audycję telewizyjną z cyklu „Wszyscy jesteśmy sądziami” dotyczącą pewnego wypadku we wsi Wieliszew z aktualnym obrazem realiów społeczno-gospodarczych wsi, jej sytuacji kulturalnej, jak też postępowych tradycji tej wsi.

Autorowi nie chodzi o polemikę z wyrokiem w sprawie, której dotyczyła audycja, ale motywy spreparowania tendencyjnego obrazu wsi, a zwłaszcza późniejsze próby uogólnień, jakich dokonywali niekiedy recenzenci tych audycji. Jeden z nich pisał o pokładach zdziwienia, okrucieństwa i barbarzyństwa. Jak to się mogło stać, pyta publicysta, że ze wsi wyróżniającej się „pozytywnie zarówno swą przeszłością, jak i aktualnym dorobkiem gospodarczym i kulturalnym, stworzonego obraz wsi-widma, budzącego postrach wśród widzów”. Starzec zwraca uwagę, iż działa to dosyć powszechny w niektórych kręgach stereotyp wsi, która jest synonimem zacofania. „Ten sposób widzenia szczególnie pieczołowicie pielęgnują i rozprzestrzeniają grupy inteligencji konserwatywnej i drobnomieszczaństwa”. Po przedstawieniu paru interesujących przykładów działania takiego stereotypu autor pisze:

„Zastanawiające jest także usankcjonowane jakimś zwyczajem traktowanie spraw wiejskich na zasadzie specjalnych gett. W programie telewizyjnym tworzy się specjalne kącelki dla wsi, to samo w radio, w prasie (nie mówię tu o progra-

KULTURA W KRAJU

W kwietniu br. przypada 20 rocznica śmierci Brunona Winawera, znakomitego dramaturga i felietonisty z okresu międzywojennego. Po wojnie ukazały się jego: „Dług honorowy”, „Doktor Przybram” i „Ziemia w mąglinie”. Był pierwszym popularizatorem nauk ścisłych. Wyrazem uznania tych zasług jest ufundowanie w 1960 roku przez redakcję „Kurierza Polskiego” dorocznego nagród im. Brunona Winawera za prace popularyzatorskie z dziedziny nauki i techniki.

W bieżącym roku mija 40 lat pracy Ewy Szelburg-Zarembiny. Pisarka jest autorką ponad 60 książek dla dzieci i około 25 — dla dorosłych. W Polsce Ludowej nakłady jej książek przekroczyły 8 mln. egzemplarzy.

„Wydawnictwo Poznańskie” w roku ubiegłym wydało 67 tytułów o łącznym nakładzie ponad 370 tys. książek. Największą część publikacji stanowią dzieła o charakterze społeczno-politycznym i historycznym. Nie brak też pozycji z literatury pięknej. Ukazała się tam m. in. nagrodzona pierwszą nagrodą na konkursie szczyńskiego oddziału ZLP powieść Zbigniewa Kiwki „Na początku był front” oraz odznaczony drugą nagrodą tom opowiadań marynistycznych Jerzego Pachlowskiego „Delfiny idą pod wiatr”.

Lubuski Zespół Pieśni i Tańca, którego obecnym kierownikiem jest Tadeusz Szumiński, obchodził jubileusz 16-lecia. W ciągu tego czasu wystąpił 300 razy z koncertami i odbył tournée po Francji.

W klubie Stowarzyszenia Polskich Artystów Muzyków w Warszawie otwarto wystawę pn. „Funkcja zapisu”. Wystawa wykazuje, że formy zapisu współczesnej muzyki coraz bardziej upodabniają się do grafiki i malarstwa. Np. partytura jednego z utworów czołowego przedstawiciela niemieckiej awangardy muzycznej, Karla Heinza Stockhausena przypomina abstrakcyjną kompozycję Henryka Stażewskiego.

W Warszawie odbyły się ostatnio targi filmowe. Przedstawiciele central wynajmu z Bułgarii, Czechosłowacji, Jugosławii, NRD, Rumunii, Węgier i ZSRR obejrzało 17 naszych nowych filmów fabularnych. Najwięcej nabywców zyskały: „Gdzie jest generał”, „Naganiec” i „Zona dla Australijczyka”.

Dwutygodnik społeczno-kulturalny „Kamena” • Redaguje Kolegium • Redaktor naczelny Maria Bechzyce-Rudnicka, sekretarz redakcji Zygmunt Mikulski • Wydawca: Oddział Lubelski Związku Literatów Polskich • Adres redakcji i administracji: Lublin, ul. Graniczna 1 • Telefon 36-45 • Redakcja rękopisów nie odsyła • Warunki prenumeraty: kwart. zł 12, półrocznie zł 24, rocznie zł 48. Zamówienia i przedpłaty przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listonosze. Instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miejscowościach, w których są Oddziały i Delegatury „Ruchu”, zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Ruchu”. Prenumerata przyjmowana jest od 1 do 15 dnia miesiąca poprzedzającego okres, na który dokonana jest przedpłata. Prenumerata za granicą: kwartalnie zł 18,80; półrocznie zł 36,40; rocznie zł 72,80. Zamówienia i wpłaty przyjmują PKWZ „Ruch”, Warszawa, ul. Wilcza 46. Nr konta PKO 1-6-100024 oraz „Ruch” Lublin, nr konta PKO Lublin 2-6-544. Lubelska Drukarnia Prasowa. Zam. 538 11.II.64. R-6

mie fachowo-rolnym, wyodrębnienie którego jest naturalne i uzasadnione. Nikomu nie przyjdzie do głowy myśli, aby tworzyć program dla miasta. Miasto bowiem to prawdziwi ludzie, mieszkańcy wsi — to specjalna grupa, którą należy traktować na prawach wyjątkowych.

Ciekawe, że pogląd taki reprezentują również jednostki kierujące się troską o sprawy wsi, ba! uchodzące za zarliwych obrońców chłopów. Sądzę, że to skutek nacisku atmosfery nie sprzyjającej uwzględnianiu problematyki wiejskiej na normalnych, równorzędnych prawach. W ten sposób powstają swoiste getta rządzące się swymi prawami i zwyczajami. Praktyka taka nie sprzyja procesowi integracji”.

Celny, z pasją napisany artykuł Starca zwraca także uwagę na działanie tych stereotypów w literaturze dotyczącej tematu wiejskiego. Nie trzeba dodawać, że sytuacja jest rzeczywiście niepokojąca i wymaga szybkiej przemiany.

W tym samym tygodniku T. Zochowski publikuje reportaż z kieleckiej wsi zatytułowany „Kieleckie światło dziś”. W Kielecczyźnie lubią mówić o przeszłości, autor także od niej zaczyna. Ale nie święta przeszłość decyduje o dzisiaj Ziemi Kieleckiej. Województwo kieleckie, należące do najbiedniejszych w Polsce, posiadające tradycyjne, zacofane rolnictwo to właśnie województwo podjęło wielką rzecz: „po raz pierwszy w historii tego województwa i po raz pierwszy w Polsce już drugi rok odbywa się na wsi kieleckiej masowe szkolenie rolnicze, na które uczęszcza w bieżącym roku prawie 70 proc. wszystkich właścicieli gospodarstw!”

W roku ubiegłym uczestniczyło w tym szkoleniu prawie sto pięćdziesiąt tysięcy osób, w roku bieżącym — dwieście dwanaście tysięcy. Wykładowcami są agronomowie, nauczyciele szkół rolniczych, fachowcy-rolnicy, czy nawet sprzedający rolnicy — właściciele gospodarstw. Autor mógł przekonać się, jakie to daje efekty, jak wyzwała energię chłopów, jak uczy dobrego gospodarowania. Toteż konkluzja jest optymistyczna.

„Światło Kieleckie dziś jest zapowiedzią lepszego jutra. A że to dziś już teraz jest światło — twierdzę tak dlatego, ponieważ jest wiele oznak mówiących, iż wiedza i umiejętności kieleckich rolników już w tej chwili są większe, niż możliwości zaspokojenia popytu na nawozy sztuczne, maszyny, materiały budowlane, ziarno kwalifikowane — popytu ukształtowanego właśnie przez tę wiedzę. Przykład godny naśladowania”.

T. K.

LUBLIN

W ZWIĄZKU Z XX-ROCNICĄ powstania pierwszej Lubelskiej Wojewódzkiej Rady Narodowej w okresie konspiracji, odbyła się w sali kina „Kosmos” wspólna uroczysta sesja zorganizowana przez Wojewódzki Komitet Frontu Jedności Narodu i Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej.

STARANIEM WOJEWÓDZKIEGO OŚRODKA PROPAGANDY PARTYJNEJ w Lublinie odbyło się 14 lutego, w lokalu Ośrodka, spotkanie z kierownikiem Wydziału Kultury KC PZPR, tow. Wincentym Krasną. Na spotkaniu, które wywołało wielkie zainteresowanie społeczeństwa lubelskiego i zgromadziło około 200 osób — przedstawiciele środowisk i instytucji kulturalnych, zostały omówione najważniejsze problemy życia kulturalnego w kraju w świetle uchwał XIII Plenum.

WIECZOROWY UNIWERSYTET MARKSIZMU-LENINIZMU organizuje szereg prelekcji i odczytów z dziedziny kultury i sztuki. Do udziału w nich zapraszani są pracownicy wszystkich placówek kulturalnych, aktyw partyjny, lektorzy KW oraz słuchacze WUMI i WSNS. Ostatnio odbyło się spotkanie z kierownikiem zakładu teorii literatury przy Uniwersytecie Wrocławskim, prof. dr J. Trzynadłowski. Prof. Trzynadłowski w czasie swego pobytu w Lublinie wygłosił odczyt na temat rozwoju sztuki współczesnej, jej tendencji i perspektyw, oraz na temat współczesnych sporów o tragizm i tragedię.

W KLUBIE „NORA” w dniach 15 i 16 lutego odbył się V Walny Zjazd Stowarzyszenia Księgarzy Polskich Okręgu Lubelskiego. Zadaniem zjazdu było podsumowanie działalności SKP w latach 1962—1963, wybory nowych władz Stowarzyszenia oraz omówienie zadań na najbliższy okres.

W KONCU LUTEGO OBCHODZI PIĘCIOLECIE SWOJEJ DZIAŁALNOŚCI teatrzyk studentów Akademii Medycznej w Lublinie — DREN 59. W okresie istnienia teatrzyk dał kilkanaście premier, przedstawień satyrycznych, kabaretowych oraz sztuki Michaela de Geldherode („Krzyżostok Kolumb”) i K. I. Gaczyńskiego („Babcia i wnuczek”). Na jubileusz pięciolecia DREN 59 przygotowuje „Pluskwę” Majakowskiego.

BIAŁYSTOK

BIAŁYSTOK DOCZEKAŁ SIĘ jeszcze jednej sceny. Obok Teatru Propozycji, który w tym roku wznowił swoją działalność

TIP - TOP - TWIST PROBLEM

„Kajakarze” rąbią po strunach, młodzież się cieszy. Za to wśród lubelskich jazzmanów zamieszanie i rozgorzenie. Chłopcy chodzą nadęci jak puchacz. Zdaże się, sedno sprawy w tym, że zlekceważono zarówno mistrzów modernu, jak i stylu tradycyjnego, a do stałej chałtury w kawiarni „Tip-Top” dorwali się właśnie „kajakarze”, czyli „bigbandy”, czyli zespół muzyczny noszący skromną nazwę — „Bezimienni”. Oczywiście, tylko ta ostatnia nazwa zespołu jest oficjalna. Reszta świadczy o złośliwości kolegów po fachu. W epoce big-beatu uszczypliwa gra słów zrozumiała jest dla każdego, natomiast wyjaśnić należy, że pełne pogardy w tym wypadku określenie „kajakarz” pochodzi od „kajaka”, czyli płaskiej gitary elektrycznej używanej w zespołach twistowych.

I kto by przypuszczał, że w Lublinie, po latach głowienia się nad problemem zapewnienia młodzieży „godziny rozrywki” ktoś zestawiający dwie obserwacje: a) jest w mieście parę dobrych orkiestr młodzieżowych, b) jest w Lublinie na RDM kawiarnia Tip-Top, ulubione miejsce spotkań „nastolatków” i studentów spijających się tanimi winami, a potem wzniciających z nudów dzikie awantury — wysnuje prosty wniosek: wobec tego najułaśchwiej byłoby dla zapobieżenia istniejącemu stanowi rzeczy zaangażować jedną z orkiestr do „Tip-Topu”, zlikwidować alkohol, a kawiarnię przekształcić w nowoczesny lokal z tańcami.

Tutaj trzeba lojalnie przyznać, że w ubiegłym roku Lubelskie Zakłady Gastronomiczne zadały sobie trud zorganizowania codziennych „fajfów” młodzieżowych w znajdującej się po przeciwej stronie ulicy... restauracji „Pod Fafikiem” (w czasie „fajfów” nie podawano młodzieży alkoholu), jednak podobno organizatorzy w porę zorientowali się, że zwyrodniałe licealistki nie wykazują należytego hartu ducha i pozwalają się namawiać na wódkę starszym osobnikom (co do których zakaz podawania nie był zbyt rygorystycznie przestrzegany), więc całą imprezę szybko zlikwidowano.

Tak czy owak, jest w końcu bezalkoholowy „Tip-Top”, a wśród jego dotychczasowych bywalców zapanował zdrowy snobizm na lubelską „Stodolę”,

„Non-stop” itp., czyli na „wielkomiejskość”, która wyraża się jakoby zabawą na trzeźwo.

Organizatorami całej „akcji” są: Wojewódzki Społeczny Komitet Przeciwoalkoholowy i Rada Okręgowa ZSP. Pierwsi dają pieniądze i „oparcie moralne”, drudzy czuwają nad programem artystycznym. Trzy razy w tygodniu potańcówki, w poniedziałek spotkania z lubelskimi aktorami; w kawiarni będzie miał także stałą siedzibę kabaret „Gong II”. Prezydium WRN ofiarowało pianino, LZG mają wieczorków tanecznych krążą po lokalu młodzieży z opaskami na ramieniu, gotowi w każdej chwili wyprosić kolegów, w złotych których płynie coś więcej niż bezprocentowa krew. Jedynym słowem, studencko-gastronomiczna sielanka.

Przy okazji warto by jednak napomknąć, że „Tip-Top” może pomieścić nie więcej niż 100 osób. Co więc z tzw. „resztą”? Reszta będzie prawdopodobnie nadal okupowała inne kawiarnie oraz Saski Ogród, Park Ludowy nad Bystrycą, skwer i pustą pawilon na Podzamczu, nadto wiele innych zacisznych miejsc, do których nie tylko różne „trójki” z Kuratorium, ale nawet milicja niezbyt chętnie zagląda.

Organizatorzy nie poprzestaną więc chyba na „Tip-Topie”...?

W Lublinie powinno powstać więcej lokali tego typu, nie tylko dla studentów i nie tylko dla młodzieży szkolnej. Warto by pomyśleć o dużej, letniej kawiarni z dansingiem, opartej na zasadach sopockiego „Non-stopu”. Mieszkańcom Sopotu wystarczy do zabawy kawałek ogrodzonego placu z lastrikowym parkietem, przykrytego dachem z brezentu, pod którym gra dobra orkiestra. Budowa takiego „pawilonu” trwa miesiąc, koszt niewielki, zysk daje się przeliczyć nie tylko na złotówki.

A tego, że jak śpiewa Majdańcówna, wyżej wspomniana młodzież może przytwierdzić od czasu do czasu poprzestawiać meble, nie należy zbyt wyolbrzymiać. Bardziej chyba warto zwrócić uwagę na to, żeby przypadkiem problemu młodzieży znowu nie postawić na głowie.

M. Derecki

KRONIKA KULTURALNA

sztuką Sł. Mroźka „Śmierć porucznika” (następna premiera — adaptacja powieści Malapartego „Kaputt”) pod egidą Związku Młodzieży Socjalistycznej powstał teatr „Rapsod”. Na inaugurację wybrano „Śmierć na wybrzeżu Artemidy” Romana Brandstaettera. Reżyser i jedyna wykonawczyni spektaklu — Karina Waśkiewicz z dużą kulturą interpretuje trudny tekst utworu. Warto podkreślić, że „Rapsod” od początku swej egzystencji nawiązuje ścisłą współpracę z terenem.

GROMADA KLESZCZELE w powiecie hajnowskim wystąpiła z ciekawą inicjatywą. W szkole podstawowej młodzież i nauczyciele wystawiają okazy miejscowej ceramiki i plecionkarstwa. Organizatorzy pragną w przyszłości zbiori swe rozszerzyć, w czym pomoc obiecało Spółdzielcze Zrzeszenie Chałupników i Wytwórców Ludowych. Taka popularyzacja twórczości regionalnej na własnym terenie godna jest naśladowania przez inne gromady.

PIĘCIOLETNIA DZIAŁALNOŚĆ Wojewódzkiego Komitetu Społecznego Funduszu Budowy Szkół w Białymstoku dała okazałe rezultaty. Do końca ubiegłego roku oddano do użytku 25 szkół o 211 łóżkach lekcyjnych. W roku bieżącym kontynuuje się budowę dalszych 10 obiektów.

KIELCE

PWRN w KIELCACH WYJAŚNIA, iż termin nadsyłania prac na konkurs na powieść o Kielecczyźnie upływa 31 marca i nie będzie przedłużony. W związku z licznymi zapytaniami, Wydział Kultury PWRN wyjaśnia, iż wyniki konkursu ogłoszone będą 22 lipca w prasie. Zadane informacje przed tym terminem nie będą udzielane. Od siebie wyjaśniamy, iż konkurs na powieść ogłoszony przez PWRN w Kielcach nie ma nic wspólnego z konkursem na wspomnianą ogłoszonym przez ZO BOWID i redakcję „Słowa Ludu”. Prace na ten konkurs należy nadsyłać do dnia 31 maja br. na adres ZBOWID w Kielcach.

KIELECKIE UCZCI SETNĄ ROCZNICĘ urodzin Zeromskiego organizując festiwal sztuk wielkiego pisarza z udziałem kilku teatrów. W dniach 28—30 w Sw. Katarzynie odbędzie się sympozjum pisarzy, w którym weźmie udział około stu literatów z całego kraju. W szkołach, w kolach ZMW, w ZMS i w hareerstwie ogłoszono konkurs na edykt Zeromskiego. Uczestnicy konkursu muszą przeczytać 10 książek, w tym 5 Zeromskiego i 5 pisarzy współczesnych.

INTERESUJĄCE WYNIKI DAŁ KONKURS wewnętrzny na wspomnienia z pierwszych lat niepodległości, zorganizowany przez KW MO. Niektóre prace świadczą o nieprzejętych pisarskich zdolnościach młocianów. Najlepsze — ukażą się w przyszłym roku w wydaniu książkowym.

ZG TSS ZORGANIZOWAŁ w końcu lutego w Rożniey kurs dla działaczy wiejskich. Na kursie wykładali wybitni specjaliści, znani autozy i naukowcy. Uczestnikami kursu byli działacze TSS z całego kraju.

R Z E S Z O W

RZESZOWSKIE BIURO WYSTAW ARTYSTYCZNYCH podpisało specjalną umowę z Wojewódzką Komisją Związków Zawodowych. W wyniku tego porozumienia akcja wystawowa rozszerzona zostanie na osiedla robotnicze. Dotychczas zorganizowano wystawy prac plastyków rzeszowskich, połączone z popularną prelekcją lub wykładem autora — w 5 świetlicach i klubach fabrycznych, m. in. w Sarzynie i Nowej Dębie. Ekspozycje spotkały się z dużym zainteresowaniem mieszkańców osiedli: w br. ilość wystaw zostanie poważnie zwiększona.

W STALOWEJ WOLI otwarto piękną szkołę muzyczną. Ma ona pierwszą w tym mieście salę koncertową o 260 miejscach, salę do prób chóru i ćwiczeń orkiestry oraz pokoje do ćwiczeń indywidualnych. Nowa szkoła otrzymała miano „Szkoły Tysiąclecia”.

Unia

UWAGA!

Administracja „Kamena” wypłaca honoraria autorskie 10 i 25 każdego miesiąca.